Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego w Białymstoku
15-476 Białystok, ul. Poleska 27
tel./fax 85 664 23 51, e-mail: modm@modm.bialystok.pl
www.modm.bialystok.pl

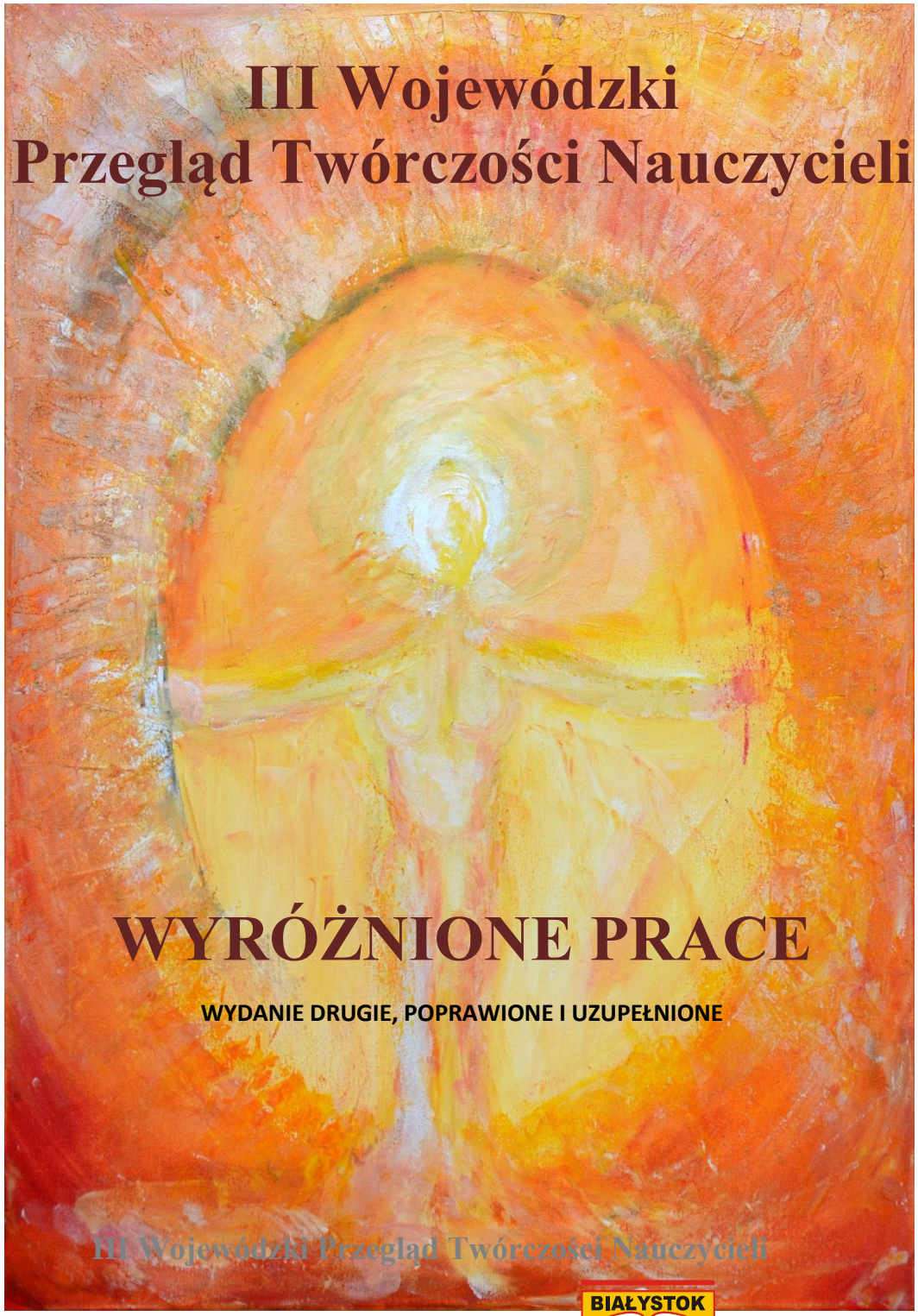

III Wojewódzki Przegląd Twórczości Nauczycieli

WYRÓŻNIONE PRACE

WYDANIE DRUGIE, POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE

III Wojewódzki Przegląd Twórczości Nauczycieli

Organizatorzy:

Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego
w Białymstoku

Szkoła Podstawowa nr 15
im. Marii Skłodowskiej-Curie w Białymstoku

Honorowy Patronat:

Marszałek Województwa Podlaskiego

Prezydent Miasta Białegostoku

Serdecznie przepraszamy panią Bogusławę Czyrską. W pierwszej wersji publikacji wkradł się błąd i jej wiersz „Na drugi brzeg…" (str. 9) został podpisany innym nazwiskiem.

Aktualna publikacja została również uzupełniona o obrazy pani Małgorzaty Tomaszewskiej (str. 38), których zabrakło w pierwszej wersji.

Okładka:
„Narodziny światła" – Joanna Dybowska

Wydawca:
Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego w Białymstoku
15-476 Białystok, ul. Poleska 27

Konsultacje merytoryczne:
Anna Stankiewicz, Elżbieta Babicz - doradcy metodyczni MODM

Opracowanie i skład komputerowy:
***Wiesław Woronowicz** – nauczyciel konsultant MODM Białystok*

III WOJEWÓDZKI PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI NAUCZYCIELI BIAŁYSTOK, 2013

WSTĘP

„Stać się człowiekiem to sztuka”

NOVALIS

Przekazujemy do Państwa rąk kolejny tomik, prezentujący twórczość nauczycieli, już nie tylko Białegostoku, lecz także województwa podlaskiego.

Publikujemy wszystkie utwory literackie, które wpłynęły na konkurs. Czytelnicy znajdą tu poezję, wiersze i opowiadania dla dzieci, a nawet bajki terapeutyczne. Całości dopełniają reprodukcje nagrodzonych i wyróżnionych prac plastycznych.

Utwory niektórych nauczycieli prezentujemy po raz kolejny, ale do tego grona dołączyli też nowi artyści. Cieszymy się, że powiększa się grupa nauczycieli, którzy chcą pokazać swoje nieznane, piękne oblicze, bo jesteśmy przekonani, że takich twórców jest wśród nas jeszcze bardzo wielu.

Nie możemy niestety zaprezentować w tej publikacji niezwykłych umiejętności muzycznych, wokalnych i recytatorskich, które mogliśmy podziwiać 10 marca 2013r. w Szkole Podstawowej nr 15 im. M. Skłodowskiej Curie w Białymstoku, ale zapraszamy Państwa na taką uroczystość już za rok.

Życzymy Państwu wielu wzruszających chwil z kolejnym tomikiem twórczości nauczycieli.

Doradcy metodyczni MODM
Anna Stankiewicz, Elżbieta Babicz

„Prawdziwy artysta nie posiada dumy.
Widzi on, że sztuka nie ma granic, czuje, jak bardzo daleki jest od swego celu,
i podczas gdy inni podziwiają go, on sam boleje nad tym,
że nie dotarł jeszcze do tego punktu, który ukazuje mu się w oddali jak światło słońca.”

LUDWIG VAN BEETHOVEN

NAD BUGIEM

Nad Bugiem na krańcu Polski
Bociany wiją gniazda
Stare wiatraki
W dziurawe ręce łowią wiatr
Słońce kąpie się w rzece
Wyciera włosy o strzechy chat

Przydrożne kapliczki
Frasobliwy Chrystus odwiedza

Magiczne miejsce
Arka Przymierza
Człowieka z naturą
Spokojne powietrze

Człapiące leniwie życie
Szeptem zabiera zmęczone dusze
Zostają po nich puste miejsca
I niepotrzebne pamiątki

Zegar gada
Następna następna

Na wysokich obcasach
Biegnie nowoczesny świat
Trochę mi tęskno trochę mi żal
Bo lubię zapach prowincji

Anna Bayer

MOJE PAMIĘTANIE

W pozornie nieatrakcyjnych miejscach
Zakochuję się każdego dnia od nowa

Królestwo piórem malowane

Poezja białostockich podwórek
Ich klimat przebrzmiały koloryt
Zatarte ślady dawnych dni

Wąskimi uliczkami idą sny
Czynszowych kamienic
Ze sklepikami i drobnymi warsztatami

szewc
kaletnik
zegarmistrz…

Urywa się nagle ich rozmowa
Cisza drzemie w szparach okiennic
Żydowskich dzielnic zwarta zabudowa
Już tylko w pamięci

Na starych fotografiach zatrzymany czas
Ludzie których nie ma dawnych ulic czar

Prawda o moim mieście zapisana w sercu
Niechaj na zawsze tam zostanie
To moje dziedzictwo moje pamiętanie

Anna Bayer

DZIAD Z BABĄ

Szeroko zamknięte okna
Omszałych domów
Podwórka zarośnięte chwastem

Przydrożny krzyż
Ubrany bukietem suchych kwiatów
Przewiązanych wstążką
Zapomnianych modlitw

Potykające się życie
Dziad z babą

Starość
Niezdarna brzydka
I tak niechciana

Ale okolica piękna
Na dachu bocianie gniazdo
Czeka
Może jest nadzieja?

Anna Bayer

LEKARSTWO NA SAMOTNOŚĆ

Samotność nas ogarnia, gdy jesteśmy sami.
Samotność nas przytłacza czarnymi skrzydłami.
A świat pod skrzydłami nie jest usłany różami.
Straszy nas często potwornymi smokami.
Gnębi codziennością malowaną szarymi barwami.
Lecz cóż to... szarość nagle znika,
A w moim świecie pojawia się muzyka.
Ta muzyka ogarnia wszystko wokół mnie
I wcale już nie muszę smoków lękać się.
Jest ktoś, kto muzyką tą kieruje,
Kto świat ciepłymi barwami maluje.
To przyjaciel, który ze mną jest
I już wiem teraz, że z samotnością uporam się.
Rolę przyjaciela więc docencie sami,
Bo on umie walczyć ze smokami.
Smokami, które atakują czasem nas,
A które oswoić nadszedł wreszcie czas. ***Justyna Bobryk***

RUMIANKOWE MARZENIA

Rumiankowe płatki
Otulają słońce,
Grają z wiatrem sonatę,
Na letniej i sennej łące.
Złotym okiem mrugają,
Wabiąc piękne motyle,
By na skrzydłach odlecieć,
W marzeń błękitną krainę.
A gdy wieczór okryje
Szalem, łąki ramiona,
I zapachem swym zwabi
Wędrownego Anioła,
By na płatkach rumianku,
Czas zatrzymać na chwilę
I wpleść w łąki warkocze
Czterolistną koniczynę…

Bogusława Czyrska

ZAPACHY WSPOMNIEŃ

Wspomnienia przechowuj w szufladach,
Uszyj im płócienne pokrowce,
I utul je płatkami róży,
Niech śpią snem na jawie,
Słodkim, anielsko-spokojnym.
Lecz czasem zajrzyj tam, by …
Przywołać zapach swojego dzieciństwa,
I misia szklane oczy,
Cienie tańczące na ścianie,
Z płomieniem świecy woskowej.

Przypomnij magię choinki,
Z wnikliwym Mikołaja spojrzeniem,
Kolędy śpiewane z dziadkiem,
Rodziców- rąk ciepło, opłatkowe wzruszenie…
Do tego trzeba dodać ,
Szczyptę dziecięcej radości,
Świąteczny makowiec mamy,
I wigilijny wieczór bez cienia złości…
A potem do drzwi zastukają,
Wspomnienia pachnące frezjami,
W błękitnej sukience,
Z błyszczącymi oczami,
Pędzące do skrzynki z listami,
By w świat ulecieć jak bańka,
Z trzepotem skrzydeł motyli,
I zostać w cieniu drzewa,
Do zakochania, na chwilę…
W tej najważniejszej szufladzie,
Jesienna miłość króluje,
Na ślubnej fotografii,
Nicią babiego lata związani,
Na wieczność zakochani,
Piszemy nasze wspomnienia,
Na złotem utkanych liściach,
Zamkniętych kluczem w myślach,
Z zapachem mruczącego szczęścia…

Bogusława Czyrska

NA DRUGI BRZEG…

Gdy Twój Anioł Stróż,
Osuszy skrzydłem ostatnią łzę,
Skrywaną na dnie duszy,
A Twoje oczy okryje noc,
sennym woalem,
Zaświeci wtedy z drugiego brzegu lampę oliwną,
Twój wierny Latarnik- Miłosierny Bóg,
By statek Twój dopłynął do portu-
- Niebiańskiego Jeruzalem.
Tu niebo zatapia się w fal morskich błękicie,
Całując skrawek Ziemi na pożegnanie,
A powiew wiatru w szumiących łanach zbóż,
Zanuci radosny psalm,
Głosem anielskim na Twoje powitanie…
W daleki rejs zabierze Cię Bóg
Topiąc w głębinach miłości,
ziemski grzechu kamień,
A ja przyniosę na Twój brzeg,
Naręcze modlitwy - białych róż,
rozkwitających nadzieją
na umówione rajskie spotkanie…

Bogusława Czyrska

***** [To nieprawda że las jest niemy…]**

To nieprawda że las jest
niemy

nie słyszysz tylko jego słów
zapomniałeś jak rozmawia
się z ziemią

wracam do lasu
pozwala istnieć marzeniom
rosnąć dzieciom

moja dusza nigdy nie zejdzie
z tych ścieżek

Joanna Dawidziuk

***** [Pamiętam jak…]**

Pamiętam jak
Z codziennym zapracowaniem
Amen nie przychodziło
Rozpoczynane na nowo
Każdym słowem trwającym

Z poziomu krzesła i podłogi
Świat wydawał się ogromny
Z begoniami w oknach
I adapterem na kredensie

Wiosną kwitły czerwono topole
Kwiaty spadały między stopy i kamienie
Pachniało pąkami i mgłą
A chrabąszcze były takie oczywiste

Droga w przyszłość
Miała cztery koła i bilet
Planowane powroty

Pozostał
Wieczny odpoczynek

Joanna Dawidziuk

*****[Ojczyzna Imię…]**

Ojczyzna Imię
Twoje

spiżem się w dłonie wciska
łzami i krwią

słyszę kroki stóp w oficerkach
lewa prawa

jesteś zaklęta szalona bliska
tak

moja Ty Białoczerwona!

Joanna Dawidziuk

JA CZY ON?

Dzisiaj Jasio z Bartkiem problem wielki mają:
„Który z nich jest zdrowszy?”- nawzajem pytają
Jasio mądrze twierdzi, że często się myje,
a woda i mydło zarazki zabije.

I nasz czyścioszek uparcie przystaje,
Że Bartek jest słabszy, racji nie ma wcale.
Na to rezolutny Bartek odsiecz daje:
„ Ja zjadam surówki – nie grymaszę wcale!

Mleko chętnie piję, a słodycze z rzadka,
Zdrowe, białe zęby - niebywała gratka!”
Na to Jasio nowe argumenty składa
i spacery na plus zdrowia koledze przedstawia.

Dyskusja chłopców żywo się toczyła
i nie wiadomo jakby się skończyła.
Gdyby nie Zosia - mądra czterolatka,
która chłopców zaprosiła na smaczniutkie jabłka.

Soczyste owoce malców pogodziły
i potem razem wszyscy się bawili.
A zdrowe nawyki obaj chłopcy mają
i niepotrzebnie czas tracą, gdy się przekomarzają.

Halina Dębkowska

NASI DZIADKOWIE

Mama i tata często mawiają,
że w osobie Babci ogromny skarb mają.
Prawda to słuszna i od wieków znana,
że Babcia w cenie wciąż niepokonana.
Babcia nigdy nie zawodzi,
Zawsze, jak trzeba, do nas przychodzi.
Pomaga na co dzień, służy w potrzebie
przy niej wszyscy są w siódmym niebie.

Babcia gotuje nam wyśmienicie,
przy niej niejadek je z apetytem.
Zakupy zrobi, załatwi sprawy,
a potem… już tylko z wnukiem zabawy.
A każda babcia pomysłów ma wiele
stąd dobrze z babcią nawet w niedzielę.

Dzisiaj dzieciaki pięknie dziękują,
Babci stu latek szczerze winszują.
Życzą Jej zdrowia, samych radości,
pociechy z wnuków i dużo miłości.

Dziadkowie również dziś święto mają,
wnuki to wiedzą, życzenia składają.
Dziękują za rower, majsterkowanie,
Wspólne spacery, bajek czytanie.

Dziękują za odbiór z przedszkola swojego,
wyjście do kina - coś wspaniałego!
Zabawy w wojsko, za budowanie,
Pościgi, zagadki, nawet strzelanie.

Dziadek nie krzyczy, gdy rozrabiamy,
w jego spojrzeniu szybko czytamy,
że pora przestać, że czas na zmiany,
nie zasmucajmy więc Dziadków kochanych.

Żyjcie nam Dziadkowie sto lat albo dłużej,
w szczęściu i miłości zdrowie niech Wam służy.
Miejcie tak jak zawsze swoje własne zdanie
i życie osobiste bardzo udane.

Halina Dębkowska

PINGWIN

Tam gdzie mróz dotkliwie szczypie
a śnieg bez ustanku sypie
żyje pingwin - ptak we fraku
elegancik w każdym fachu.

Surdut czarny ma na grzbiecie
trochę kusy - brzuch mu gniecie.
Czarną czapkę także włożył,
by mróz główki nie odmroził.

Żółty dziobek, łapki małe
i skrzydełka... choć te wcale
służą mu nie do latania,
lecz sprawnego poruszania.

Pingwin szybko nimi rusza,
kiedy w drogę gdzieś wyrusza,
Stąpa wolno, nawet śmiesznie,
za to pływa wprost bajecznie.

Nurek z niego znakomity,
skoczek także wyśmienity.
Łowiąc ryby, skorupiaki,
dba o żonę i dzieciaki

Mieć pingwina - przyjaciela
to marzeniem wielu jest.
Tylko szkoda, że tak zimna
Antarktyda przecież jest!

Halina Dębkowska

CZAS NA ZMIANY

Czy potrafisz się uśmiechnąć do ludzi?
Powiedzieć -Dzień dobry- obcym na przystanku
Choć się zdziwią?

-Wariat!
Bo nie przywykli.

Czy potrafisz powiedzieć -Jaki ładny dzień!
-Życzę miłego popołudnia.

-Śmieszny człowiek…
- Chyba czegoś chce?

Nie przywykli do życzliwości codziennej,
do wesołych oczu,
i jasnych twarzy.

Grymas smutku przywarł.
Na stałe.
I ten pasuje.
I to normalne.
A może czas na zmiany?

„I dzień coraz krótszy”
I dzień coraz krótszy,
i droga maleje.
Co było? Co jest?
A co będzie?
Nie wiesz.

Cieniem się kładą wspomnienia.
Płyną ze łzami
jak strumień.
Raz powiedziane
jak klamka,
jak drzwi co zatrzasnął czas.

Nie ma powtórki z życia!
Decyzja, jak kamień,
wali w głowę.
Za szybko, za nerwowo,
wyszło z ust
Twoje tak.
I masz za swoje!

Wiesława Filimoniuk

MELANCHOLIA

Melancholia jak powiew wiatru
z sumieniem się huśta,
na wiekowej gałęzi.

Nie ma zielonej wiosny,
bo minęła.
Lato odpłynęło ze słońcem
i przyszedł czas na plony.

Zasiane, zebrane,
Tak jak żyłeś!
To twój zapas na dalej,
na resztę.

Choćbyś kopał i krzyczał!
do nieba.
Nic nie zmienisz
Twoje pole…
Twoja rola…
Twoje zbiory…

Wiesława Filimoniuk

NIE PAL PROSZĘ

Gdy wstaję codziennie rano
witam się ze swoim tatą i mamą
w mej głowie pojawia się rym,
że wolę czyste powietrze niż dym
Proszę swoją mamę i tatę
Aby rzucili niezdrowe nawyki
Tak jak rzuca się w wodę kamyki
I zdrowie tryśnie z was
Bo rzucić palenie
Na to zawsze jest czas
Mamo, tato nie pal proszę
Bo zdrowie to największy skarb
I piękny uśmiech nieś przez całe życie
Tego życzymy my wam
A gdy palenie rzucicie
Zmienicie nasze życie
Odejdzie cały stres
Bo gdy nie palicie tak już jest.

Marzena Gryciuk

SZKOŁA ALBERTYNKI

Na sękatych, starych półkach –
jak skulonych ptaków stadka –
tulą się do siebie książki
w gabinecie mego dziadka.

Staromodnie oprawione,
tajemniczo oraz skrycie
wiodą między okładkami
sobie tylko znane życie.

Warto zajrzeć tam niekiedy,
wzbić pod sufit kurzu chmurkę
i wędrować za słowami –
czasem z górki lub… pod górkę.

W książce, która stoi w rogu,
mieszka mała Albertynka.
Trudno o niej opowiedzieć,
tak niezwykła to dziewczynka.

Sama dba o wszystko wokół,
dużo tańczy, dużo śpiewa,
umie nawet kopać piłkę,
sprawnie wspina się na drzewa.

Kiedyś wiosną wyszła sobie
na zwyczajny spacer z ranka
i spotkała na swej drodze
dwa kurczątka i baranka.

Dobrze zatem się złożyło,
że nie uszły w świat daleki,
bo zwierzątka wędrowały
całkowicie bez opieki.

Ani chwili nie czekając
(bo cierpliwość jej obrzydła),
wzięła troje tych przyjaciół
pod troskliwe swoje skrzydła.

Energicznie przygarniając
opuszczone te biedactwa,
przypomniała, jaką rolę
pełni w życiu edukacja.

I konkretną myśl powzięła –
nowej drogi to początek –
stworzy fantastyczną szkołę
dla baranka i kurczątek.

I codziennie już od rana,
gdy kończyło się śniadanie,
Albertynka wyjaśniała,
czym jest dobre wychowanie.

Potem były lekcje haftu,
w którym wiodły prym kurczątka,
za to z jazdy na rowerze
u baranka była piątka.

Mnogość zajęć z różnych dziedzin:
sztuki, gier, literatury,
zamieniła wnet kurczątka
w dwie poważne, mądre kury.

I mijały tak dni całe,
z przerwą krótką na posiłki,
w pocie czoła pracowali,
łącząc trudy i wysiłki.

A baranek, mimo szkoły,
został drobny i malutki,
zbierał teraz białe jajka –
dorosłości kurzej skutki.

Ledwie słońca złoty zegar
kazał ciepłe zdjąć ubranie,
nowy uczeń się pojawił
w naszej szkole niespodzianie.

Biegną wszyscy go powitać
i obejrzeć sobie z bliska,
a tu łypie czarnym okiem
wpół skulona postać niska.

Małym noskiem z wąsikami
węszy wciąż niebezpieczeństwo,
lecz w tej szkole, wśród przyjaciół,
wnet wyrobi w sobie męstwo.

Nożyczkami równo cięła
Albertynka wstążkę długą.
Dwie kokardki na dwa uszka –
wiąże pierwszą, potem drugą.

Tak króliczek oznaczony
co dzień w ławce swej zasiada,
a gdy czegoś nie rozumie,
to zagląda do sąsiada.

Albertynka bardzo ceni
rozwijanie wyobraźni,
ale pragnie także uczyć
tolerancji i przyjaźni.

Rzecz ta nie jest taka prosta,
gdy się uczniów ma z podwórka;
tutaj królik, tam baranek
a tu jedna z drugą – kurka!

Każde z nich ma inny wygląd,
różne też upodobania:
smakołyki, gry, zabawy,
melodyjki do śpiewania.

Trudno czasem zapanować
nad ruchliwą tą gromadką,
lecz wystarczy poczęstować
prosem, trawą i sałatką.

Albertynka umie sobie
radzić z nimi doskonale.
A że kłócą się czasami?
Nie przejmuje się tym wcale!

Wierzy bowiem w coś, co łączy
(mimo różnic) te stworzenia –
one pragną jednakowo
jej uwagi, zrozumienia.

I dlatego z równą troską
nad wszystkimi się pochyla,
czesze piórka, gładzi loki,
rozrywkami czas umila.

A zwierzątka? Wciąż się uczą
koleżeństwa i przyjaźni,
zaś odmienność charakterów
sprawia radość, a nie drażni.

Katarzyna Janowicz- Timofiejew

ZAGINIONY KOTEK

W autobusie linii 10,
na siedzeniu, w samym kątku,
siedział kotek, obserwując
wszystkich ludzi bez wyjątku.

Co on robił sam w tym miejscu
mimo późnej już godziny?
Kotek szukał, bardzo tęskniąc,
swojej babci – Marceliny.

Ta historia, choć niedługa,
ma co najmniej kilka wątków,
więc zacznijmy opowiadać
ją powoli, od początku.

Mroźnym rankiem dzień sobotni
strząsnął śnieżne z drzew pierzyny
i zapukał słońca blaskiem
w okna babci Marceliny.

Za firanką z falbankami
lśniła mała jej kuchenka,
ekspres pachniał czarną kawą,
babcia stała uśmiechnięta.

I fantazji mała chmurka
uleciała wnet z jej głowy,
bo pragnęła dzisiaj zrobić
słodki tort urodzinowy.

W fajansowym kubku z myszką
stygnie gęsta czekolada,
babcia w misie kręci ciasto
i rodzynki do niej wkłada.

Na to wszystko patrzy chętnie
mały kotek, zwany Heniem,
bo uwielbia razem z babcią
delektować się jedzeniem.

Gdy w śmietanki białej chmurce
utonęła już wisienka,
torcik został ukończony.
Oj, ucieszy się Irenka!

Wnuczka babci dziś obchodzi
swoje szóste urodziny
i w jedwabnej sukieneczce
przed lusterkiem stroi miny.

Szybko zatem się ubrała
nasza babcia-gospodyni
i z koteczkiem pojechała
do wnuczusi w odwiedziny.

Pora była bardzo mroźna,
lodowaty wiatr wciąż dmuchał.
Łatwo miasto przesłoniła
śnieżna baba-zawierucha.

Poły płaszczy tańczą smętnie,
wiatr śnieżynki w oczy niesie…
Mały kotek się zaplątał
w autobusie linii 10.

Nikt z obecnych w tłoku ludzi,
spoza czapek i beretów,
nie był w stanie nawet dostrzec
pasażera bez biletu.

Usiadł sobie on cichutko –
niewidoczny z przodu, z boku –
i przejechał całe miasto
zatopione w gęstym mroku.

Pan kierowca skończył jazdę,
ciepłe palto więc zakłada.
Nagle spostrzegł w swym lusterku:
z autobusu ktoś wysiada.

„Dokąd idziesz, mały kotku?
Kto się zajmie tobą w nocy?
Ruszaj ze mną, ja zwierzaczka
nie zostawię bez pomocy.”

W domu pana Sebastiana
kotek w kłębek już się zwinął,
otoczyły go sny zewsząd –
wszystkie z babcią Marceliną.

A na drugim końcu miasta,
w oknie z białą firaneczką,
smutna babcia Marcelina
łzy z policzka trze chusteczką.

Zaś w niedzielę, po śniadaniu,
pan Sebastian wraz z rodziną
uznał zgodnie, że należy
zdecydować, co z kociną.

Wszyscy – jakby na komendę –
czoła, marszcząc, pochylili,
wymyślili rozwiązanie,
którym wspólnie się cieszyli.

Napisali ogłoszenie:
„Niechaj wieść ta się rozniesie:
znaleziono wczoraj kotka
w autobusie linii 10.”

Odtąd każdy, kto gdzieś czekał
na przystanku zaśnieżonym,
mógł przeczytać informację
o tym kotku zaginionym.

Kiedy marzec chłodnym rankiem
wita pierwszy wiosny dzień,
wszystkie smutki Pani Zimy
chcą usunąć się gdzieś w cień.

Dobre wieści się rozchodzą
jak jaskółek pierwszy lot.
Babcia właśnie przeczytała,
gdzie znajduje się jej kot.

Wiosna raźno się zabrała
za coroczne swe porządki.
Trzepie, myje i odkurza,
przekopuje wszystkie grządki.

Żaden smutek się nie schowa
w Marceliny domku małym.
Kotek w oknie z firaneczką
patrzy dumnie na świat cały.

Katarzyna Janowicz- Timofiejew

AZOREK

Na podwórku ogrodzonym
niewysokim płotkiem z drewna,
mieszkał piesek jakich wiele –
to rzecz smutna, ale pewna.

Azor było mu na imię,
miał na szyi białą łatkę,
małe uszka, czarne oczka
i obrożę w drobną kratkę.

Błogim chwilom się oddawał
w budzie ciepłej od snów jeszcze,
ona zawsze go chroniła
przed chłodami oraz deszczem.

Cudnie by się układało
zwykłe życie psiaka w ciapki,
gdyby mógł się on dowiedzieć,
dokąd go zawiodą łapki.

Dom zaś państwa gospodarzy
dość obszerne miał obejście.
Buda stała tuż przy bramie –
tu jest wyjście oraz wejście.

Energicznie więc szczekając,
bronił wrót tych nasz Azorek,
ale często patrzył tęsknie
na biegnącej drogi wzorek.

Co się kryje na jej końcu
za pagórkiem tuż pod lasem?
Tego nie mógł się dowiedzieć,
więc wymyślał sobie czasem.

Faktem jest stwierdzenie proste,
że choć pies ma łapy cztery,
to nie wiemy, czemu właśnie
ma nie chodzić na spacery?

Głównie dzieci odwiedzały
więc Azorka na podwórku
i przez płot go pozdrawiały,
a on stał na krótkim sznurku.

– Hej! – wołała niemal co dnia
rudowłosa, mała Hania,
gdy zabawę zaczynała
od Azorka podziwiania.

I chwaliła jego wygląd:
zgrabny pyszczek, ogon miękki,
choć z daleka oglądała
jego kundelkowe wdzięki.

Jeszcze śnieg na polach leżał
i w konarach starej gruszki,
gdy wróbelek już zaćwierkał:
„Odleciały jemiołuszki!”

Krótkie dni się wydłużały –
tak, jak owocowe żelki –
a Azorek z wiosną poczuł
pstrej radości przypływ wielki.

Ledwie słonko się przedarło
przez leniwe, białe chmurki,
zaroiło się w obejściu:
indyk, kaczki, kogut, kurki.

Łatwo mówić o radości
tym szczęśliwcom, co są w ruchu,
ale przecież nasz Azorek
stoi teraz na łańcuchu.

Mógłby musnąć leciuteńko
mokrym nosem jakieś piórko,
gdyby tylko ktoś pozwolił
obiec w kółko mu podwórko.

Nawet nie chciałby nic więcej:
drobnych pieszczot, lepszej strawy,
byleby ktoś trochę częściej
dawał wolność – dla zabawy.

Omiótł znów obejście całe
nieco już znudzonym wzrokiem,
aż tu dzieci gromadkami
idą równym, dziarskim krokiem.

Popatrzyły szybko wokół
i znalazły tuż za płotem
małą łączkę do zabawy
z wierzb zapachem i widokiem.

Raźno zatem się zabrały
do gier różnych oraz berka,
a Azorek spoza płotu
nic nie szczeka, tylko zerka.

Sam by chętnie się pobawił,
piłkę łapał i przynosił,
ale nikt go nie zawołał,
do zabawy nie zaprosił.

Śmiech rozlegał się co chwila,
wiatr po polach go rozganiał,
wnet do dzieci dołączyła
rudowłosa, mała Hania.

Troska jedną cienką zmarszczką
jasne jej przesłania czółko,
zamiast się zabawą cieszyć –
o Azorku myśli w kółko.

Umyśliła sobie zatem
plan działania dosyć prosty.
Warto wierzyć, że nas łączą,
a nie dzielą jakieś mosty.

Wkrótce z mamą odwiedziła
dom Azorka gospodarzy,
miłym głosem poprosiła,
o to, co się potem zdarzy.

Zatem niech się nikt nie zdziwi,
gdy zobaczy scenę taką:
idzie Azor na spacerek,
błyszczy z dala białą łatą.

Odkąd wiosna w tym zakątku
rozgościła się na dobre,
Hania z pieskiem spaceruje,
on w jej oczy patrzy modre.

Źrebak śmiesznie podryguje,
tuli się do mamy czasem –
właśnie to zobaczył Azor
za pagórkiem, tuż pod lasem.

Żadnej chwili nie żałujcie
swoim pieskom Dzieci Drogie,
one będą bardzo wdzięczne,
o tym Was zapewnić mogę.

Katarzyna Janowicz- Timofiejew

WIOSENNE DRZEWA

Drzewa kwieciem obsypane
stoją jakby malowane
pędzlem mistrza.

Wiatrem lekko kołysane
nie śpią, tylko zadumane
sypią kwieciem.

Wiosna je zaczarowała,
odmieniła i odziała
w biel i róż.

Jakże czują się wytworne,
piękne i tak bardzo strojne
w sukniach tych.

U swych stóp dywany mają,
bo je co dzień sprytnie tkają
z kwiatów swych.

Słodki zapach się rozchodzi,
on każdego za nos wodzi
wonią tą.

Kiedy wszelki kwiat opadnie,
będą dumne, wręcz przesadnie
z roli swej.

Anna Krzywosz

OGRODOWY TANCERZ

Mały motyl fruwa w ogrodzie,
o niepowtarzalnej wśród owadów urodzie.

Skrzydła żółte, miejscami z odcieniem zieleni,
która w słońcu cudownie, jak szmaragd się mieni.

Jego cechą są lekkość i zwinność,
delikatność oraz niewinność.

I tak tańczy, i tak wkoło się kręci,
że wzrok patrzącego wciąż nęci.

To się zrywa do lotu wytrwale,
to opada na kwiat doskonale.

Kiedy chwilę odpocznie na kwiecie,
to chce znowu czym prędzej ulecieć.

Każdy ogród jest jego parkietem,
każdy obrót - wręcz piruetem.

A muzyką kwiatów szemranie,
powiew wiatru, ptaków śpiewanie.

Masz ochotę go złapać w swe ręce,
zamknąć je i nie puścić już więcej.

Lecz czy warto tak pojmać, zniewolić,
nie zobaczyć go więcej w tej roli?

Mistrza pląsu, wspaniałego tancerza,
Jego talent wprost widza uderza.

Doskonały jest wręcz, ty wiedz o tym,
chociaż tylko to mały motyl.

Anna Krzywosz

WIELKANOC

Znów Wielkanoc zbliża się wielkimi krokami.
Myję okna, odkurzam i trzepię dywany.
Po zakupy samochodem do sklepów pędzę,
a w niedzielę jak inni palmę święcę.
Nie mam czasu nawet na chwilę skupienia,
skruchy, żalu, zastanowienia.
Znowu ścieram kurze
i zmywam podłogi w łazience,
piekę mięso, naraz dwa ciasta kręcę.
Teraz śpię szybko i krótko,
bo Wielkanoc jest zaraz, już jutro.
Nagle stop. Dzwony dzwonią, wołają,
na poranną Mszę zapraszają.
W końcu myślę: „ Po co to zamieszanie?”
Trzeba w sercu mieć Zmartwychwstanie.

Anna Krzywosz

*** [PRZYDARZYŁY SIĘ TRZY HISTORIE…]

przydarzyły się trzy historie
jedna w mojej głowie
druga w twojej głowie
a trzecia naprawdę

myślałam że moja jest prawdziwa
i była
aż jej wiatr nie zdmuchnął

Agnieszka Suchowierska

*** [NIE WIADOMO NAWET…]

nie wiadomo nawet
czy jutro spadnie śnieg
kogo będzie bolała głowa
kto minie mnie na ulicy
nie wiadomo nic
a co dziś wiadomo
jutro niknie bez ostrzeżenia
albo siedzi na swoim miejscu
szelmowsko uśmiechnięte
co by tu zrobić, co by tu zrobić?
nie wiadomo nawet
czy w ogóle coś robić

Agnieszka Suchowierska

TRUSKAWKA

taka jędrniutka
i czerwoniutka
taka piękniutka.
trzymam, obracam
wącham, nadgryzam,
czuję jej smak.
trzymam go w buzi
znika na zawsze.

druga truskawka
tak idealna
już czuję strach.
trzymam ją dłużej,
dłużej dotykam
i dłużej znika.

trzecią truskawkę
zapobiegawczo
trzymam w słoiku
wącham i nie jem
czwartej nie wącham
piątej nie zrywam.

a szósta dla mnie robi wyjątek
śmieje się z krzaka
na zawsze moja.

Agnieszka Suchowierska

O WĘDRUJĄCEJ FONTANNIE

Jest taka fontanna
w samym środku miasta,
co to wędrowała
aż przystała, właśnie.

Na Bazarnym Placu
w dziewiętnastym wieku
stanęła fontanna,
a na niej trzej człeka.

Okrąg metrów sześciu,
a może i więcej
wypełniła woda,
a w środku wodotrysk.

Wodotrysk wieńczyło
trzech młodzieńców zgoła
na rzeźbie niewielkiej -
patrzących dokoła.

Jeden trzymał trąbkę,
drugi – winorośle,
a trzeci kotwicę
w rękach swych wyniośle.

Lubili mieszczanie,
gdy żar z nieba żarzy,
stanąć u fontanny,
trochę chłodu zażyć.

Ale była jedna,
noc jedyna w roku,
gdy złote promienie
rozchodziły się wokół.

Wokół wodotrysku,
gdy mróz trzymał tęgi,
ogrzewając serca
ludzi tych, co smętni.

Minęło pół wieku,
oceniając z grubsza,
przenieśli fontannę
coś bliżej ratusza.

Na próżno mieszkańcy
wyglądali złota.
Fontanna płakała
jednym wielkim okiem.

Na dodatek jeszcze
którejś chmurnej nocy
zniknęli młodzieńcy
gdzieś tak po północy.

Stała teraz smutna
w żalu roztopiona,
bo nie było rzeźby,
ni złotych promieni.

Aż razu pewnego
budzą się ludziska,
a niecka fontanny
w starym miejscu tryska.

Piaskowiec kolisty
otoczył wodotrysk,
na który wskoczyli
młodzieńcy radośnie.

Przychodzili ludzie
każdej mroźnej nocy –
może to już dzisiaj
fontanna sypnie złotem?

Grudzień był na dworze,
mróz ścisnął siarczysty,
skoczyło trzydzieści,
no i jest! – złociście.

Od tej chwili w mieście,
w mieście Białymstoku,
w jedną noc fontanna
wodę zmienia w złoto.

Halina Wakuluk

O PUŁKOWNIKU, CO ZWAŁ SIĘ KAWELIN

Powiadają ludzie,
że między wojnami
przechadzał się pewien
pułkownik ulicami.

Postury ogromnej,
widu niełądnego,
z rozdziawioną gębą
śmiał się do każdego.

I kiedy tak śmiał się,
wyłupiaste oczy
sprawiały, że człek ten
stawał się uroczy.

Zwał się zaś Kawelin,
Mikołaj - na imię.
Twarz zmarszczona cała
mopsa przypomina.

Osobliwie lubił
patrolem znękany
siadać na ławeczce
u wylotu bramy,

co to otwierała
wejście na gościniec,
a zaś ten prowadził
w Branickich dziedziniec

Lecz od dni już kilku
puste miejsce czeka
na znanego wszystkim
w Białymstoku człeka.

Ten zachorzał bardzo
łapiąc gorąc nagle.
Bańki mu stawiali –
i wszystko po diable.

Dnia szóstego rankiem
żegnał się ze światem
i świece palili
tu, w jego komnacie.

Nie minęła północ,
a przepadło ciało.
Nie ma kogo grzebać
tak się właśnie stało.

Lecz cóż to się dzieje? –
przy ławeczce w parku
siadł pies jak z kamienia,
w jednej chwili zastygł.

A oblicze jego
jak u Kawelina:
gęba rozciągnięta
ledwo szczęki spina.

Przywykli przechodnie
mijać psa grubasa.
Wrzucą w gardziel śmieci,
po pysku pogłaszczą.

Halina Wakuluk

O PRACZKACH NA PLANTACH

Miał się ku końcowi
letni dzień pogodny,
gdy nad staw przybiegły
trzy praczki nadobne.

Zakasały bluzki
prawie do ramienia,
balia łachów pełna,
tyle do zrobienia!

Odzienie po żniwach
od potu nawisłe,
szorują na tarce,
płuczą w wodzie z błyskiem.

Starsza wyżymając
w ręku kaftan gładki
opowiada młódkom,
opowiada składnie…

Jak to w dzień świętego,
świętego Andrzeja -
rzucisz grosz do stawu,
los się twój odmienia.

Trzeba tylko jeszcze
pacierz zmówić trzykroć
i prosić sadzawkę:
wodo, męża przyślij.

Uklękły dziewczyny,
patrzą, wypatrują…
Czy z tym mężem prawda? –
Czy sobie dworujesz?

Ależ najprawdziwsza!
Niech mnie dunder świśnie!
Patrzcie, a głęboko,
mąż się w wodzie wyśni.

Nie pójdę do domu,
wiosen mam szesnaście.
Ach, wodo, wodziczko,
może męża dasz mi?

Pyta ta najmłodsza,
dwie jej sekundują.
Czekajmy Andrzeja,
koniec prania – mówią.

Utopiły w stawie
balię, tarkę, łaszki.
Lepszy mąż bogaty
niźli służba praczki.

Przyszedł święty Andrzej,
a młódki bez grosza.
Nie ma gdzie zarobić,
nie ma kogo prosić.

Nic po wróżbie komu,
gdy nie ma zapłaty
i jakże tu wracać
do swej biednej chaty?

I czekały jeszcze
na próżno noc całą.
W nocy przymroziło,
no i tak zostały.

I czekają do dziś
jesień, zimę, lato
nad wodą, gdzie w stawie
lilii aż bogato.

No, a gdzie mężowie? –
też czekają chwaci.
Choćby grosz posagu…
proszą ciągle łasi.

Halina Wakuluk

ŻELKI

Słodkie żelki się spotkały
smaki swoje zachwalały.
Żelek wąż o smaku mięty
jego smak jest niepojęty.
Żelka Krysia z warkoczami
pachnie cudnie malinami.
Żuj nas w buzi, w lewo w prawo
w górę, w dół - szybko żwawo.
Przyczep nas do podniebienia
czujesz jak nasz smak się zmienia?
Troszkę słodkie, troszkę kwaśne
nikt tu z nami dziś nie zaśnie.
A gdy żelki już połkniemy
to usteczka obliżemy.

Anna Warżagolis

PRZEMIJANIE

Byłeś promykiem słońca nawet w pochmurne dni,
ochroną moją drogą, gdy źle i smutno było mi.
Radością, ukojeniem, niepytającym westchnieniem.
Byłeś od dnia mego poczęcia,
byłeś drogą mojego szczęścia.
Kwiatem na łące.
Tuliłeś i usypiałeś, oczy moje śpiące.
Byłeś serca biciem.
Byłeś moim najcenniejszym odkryciem.
Byłeś tęczą na niebie,
dawałeś mi siebie.
Teraz jesteś w niebie,
a mi brak jest Ciebie.
Tak nagle, zmieniłeś mieszkanie,
a w naszym, pustka po Tobie zostanie.
Wierzę, że patrzysz na mnie z góry,
i przeganiasz te czarne chmury.
Wierzę, że jest Ci tam dobrze,
że Bóg Cię, obdarował szczodrze.
Że masz piękne mieszkanie,
i szykujesz je na nasze spotkanie.
Bo wierzę, że się kiedyś spotkamy,
i w nim razem zamieszkamy.

Anna Warżagolis

ROZMOWY PRZY STAWIE

W małym stawie
żabki mieszkały
całymi dniami
sobie śpiewały:
Kum, kum, kum
kum, kum, kum.
Pewien bocian
żabkę śledził
i staw żabek
w mig odwiedził.
Kle, kle, kle
kle, kle, kle.
Żabki na to:
on nas zje!
Kum, kum, kum
kum, kum, kum.
Po co zaraz
taki szum!
Jestem właśnie
po śniadaniu
myślę zatem
już o spaniu.
Kum, kum, kum
kle, kle, kle.
Bocian zasnął
żabki nie!

Anna Warżagolis

O DALEKIEJ WYPRAWIE

Po podwieczorku w przedszkolu zostawało bardzo mało dzieci i pani Róża mogła opowiadać im bajki. Wszyscy rozkładali się na dywanie, na miękkich kolorowych poduszkach i słuchali opowieści, które były zupełnie inne niż te z grubaśnych książek w kąciku książki. Nie było tam ani różowych księżniczek, ani super bohaterów o niezwykłej sile, ani wróżek o skrzydełkach motyla. Nic z tych rzeczy. Ktoś by powiedział: ech, co za nudy! A jednak dzieci nadstawiały uszu z ciekawością i nie wiedziały do końca, czy pani nie ma trochę racji. Czy kubki i talerze z kuchni nie rozmawiają ze sobą podczas obiadu, a lalki- może ożywają i wieczorami urządzają sobie bale.

Tego dnia akurat w opowieści występował czerwony kubek w kropki, który bardzo, ale to bardzo nie lubił, gdy przedszkolaki piły mleko. Pryskał i chlapał tym mlekiem na wszystkie strony, aż się w końcu robiła potężna kałuża. Nie wiadomo dlaczego pani kucharka i pani wychowawczyni nie mogły uwierzyć, że kubek w kropki sam wylewa mleko. Trudno jest jednak opowiadać bajki, kiedy ciągle ktoś się wierci i przeszkadza. Tym razem Zosia nie mogła usiedzieć na miejscu. A to zagadała do koleżanki, a to pociągnęła kogoś za włosy, a to pokazała język koledze. Pani Róża nie mogła dokończyć swojej opowieści, bo musiała co chwila zwracać jej uwagę. W dodatku Zosia zrobiła z siebie straszydło- rozczochrała włosy, swoją spódnicę założyła na lalkę i siedziała w samych spadających z pupy rajstopach. Pani Róża pomogła jej poprawić wygląd, ale nie wszystko dało się tak łatwo poprawić. Ach, te rajstopy Zosi! Ciągle by tylko spadały i spadały, i skręcały się w ruloniki. Ale dziewczynce wcale nie chciało się nic poprawiać. Udawała, że nie słyszy pani i jakby nigdy nic, bawiła się z koleżankami.

- Zosiu, popraw rajstopy, bo zaraz spadną i odfrunął w siną dal- powiedziała pani, ale było już za późno.

Rajstopy zsunęły się na podłogę i zaczęły szybciutko uciekać po podłodze w kierunku drzwi. Omijały skrzynki z zabawkami i kolorowanki porozkładane na stolikach. Dzieci zdumione tym widokiem, szeroko pootwierały oczy.

- Łapać je!- krzyknął Jaś i ruszył na ratunek, ale tuż przy wejściu zderzył się z kolegą.

Zosia w samej spódnicy przewracała się o niesprzątnięte zabawki. Frrrr…. Drzwi trzasnęły i część garderoby odfrunęła z wiatrem wysoko, coraz wyżej. Dzieci z nosami przyklejonymi do szyby patrzyły, jak rajstopy stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu małe jak kropeczka znikają w chmurach.

- Dokąd się wybierzemy?- zapytała prawa stopa lewej, szybując nad ziemią.

- Nie wiedziałam, że chmurki są takie miękkie- przytuliła się do obłoków druga stopa.- Mam ochotę frunąć z wiatrem jak najdalej, aż się zmęczymy. Nie chcę wracać do Zosi, która nas nie szanuje!

I poleciały na południe. W dole widziały przykryte śniegiem drzewa i kolorowe, pełne ludzi miasta. Czasem zatrzymywały się na jakimś słupie albo dachu, żeby odpocząć i zwisając z rynny, przyglądały się ludziom. Takim sposobem dotarły aż do gór. Wicher szalał między szczytami, śnieg sypał i zaraz przemoczył biedne rajstopy. Zaczęły kichać i wykręcać się jak po praniu.

- Zimno tu.

- I wietrznie.

Ale to były odważne i ciekawskie rajstopy. Zaczęły wspinać się coraz wyżej i wyżej aż na sam szczyt gór. Trochę się powycierały o skały i przybrudziły, ale uparcie wspinały się dalej. Bo kto chce być zdobywcą szczytów gór, nie powinien się przejmować kilkoma plamami. Aż tu nagle patrzą- jaskinia.

- Ukryjmy się i przeczekajmy śnieżycę- zaproponowała prawa stopa.

W jaskini było cicho, spokojnie i sucho. Tu nie dosięgał ani wiatr, ani śnieżyca. I było też coś miękkiego na podłodze, coś jakby futrzany dywanik…

- GRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRR!- zawył dywanik, który nagle okazał się wielkim i groźnym niedźwiedziem. Zamachnął się z pazurami wprost na biedne zabłąkanie rajstopy.

- Uciekajmy!

Na szczęście udało się, bo niedźwiedź był bardzo zaspany i nie zainteresowały go ubrania.

- Jaskinie górskie to zdecydowanie nie miejsce dla nas- zauważyły rajstopy i postanowiły poszukać innego schronienia.

Nadeszła noc, a nasze bohaterki zaczęły się bać, bo i ciemno się zrobiło, i do domu daleko, i zimno w mokrym śniegu. W oddali pojawiły się migoczące światełka.

- To chyba jakieś światełko! Hurra, jesteśmy uratowane!

Światła, które rajstopy zobaczyły w ciemności, nie były wcale żadnym miasteczkiem ani nawet pojedynczym domem. To jacyś ludzie wędrowali przez śnieg z latarniami.

- Chyba czegoś szukają- uniosła się wyżej lewa stopa.- Zobaczmy, o co chodzi.

Ludzie z miasteczka szukali małego chłopca, który sam, bez pytania i w dodatku po ciemku poszedł na narty. Musiało mu się stać coś złego, bo szukali go już bardzo długo razem z ratownikami i psami ratowniczymi. Ani śladu. Śnieg padał coraz większy, a bez latarek w ciemności nic nie było widać.

- Polećmy w górę i zobaczmy, co widać z bardzo wysoka- wymyśliły rajstopy i wzbiły się w powietrze wyżej niż szczyty domów. W dole ludzie wyglądali jak malutkie świetliki, a wokół była śnieżyca i ciemny, górski las.

- Widzisz coś?- zapytała lewa stopa.

- Nic, a nic- odparła prawa.

Szukały wśród drzew i w zaspach i nawet do jaskiń zaglądały, chociaż wiedziały, że mogą spotkać tam niedźwiedzia. Nigdzie nie było widać chłopca, tylko…

- Narty!- rajstopy poszybowały w kierunku nart leżących na zboczu górki.

W dziurze zasypanej śniegiem siedział chłopiec. Nie mógł się wydostać, bo brzeg był za wysoko. Zauważył latające rajstopy i zaczął machać w ich stronę.

- Pośpieszmy z pomocą- stopa lewa chwyciła się za drzewo, a prawa spuściła w dół wprost do malca.

- Oj, żebyśmy się tylko nie porwały.

Chłopiec chwycił rajstopy i sprytnie wygrzebał się z jamy i nawet nie zdążył im podziękować, bo już zbliżali się do niego ratownicy. Nie mógł przecież powiedzieć, że uratowały go rajstopy, bo kto by w to uwierzył. I tak dostanie pewnie karę za swój pomysł chodzenia w góry bez dorosłych. A rajstopy kryjąc się na drzewie, patrzyły, jak mama i tata przytulają odnalezionego chłopca i chociaż trochę się gniewają, bardziej są szczęśliwi, że się ich synek odnalazł.

- Tęsknię do Zosi i do szafy z ubraniami- zasmuciła się jedna ze stóp.- A góry wcale nie są przyjemne, gdy jest się błąkającym się po lesie ubraniem. Chyba czas wrócić do domu…

Kilka dni później Zosia szła do przedszkola w bardzo złym humorze. Musiała nałożyć spodnie w kratkę zamiast ulubionej sukienki, a mama była na nią zła za zgubione rajstopy. Gdyby dziewczynka wiedziała, że jej ubranie odleci z wiatrem, nie zapominałaby o ich poprawianiu i podciąganiu. Koledzy od wejścia pytali, czy coś wiadomo. Proponowali, że wynajmą detektywa, który z pewnością odszuka uciekającą część garderoby, ale Zosia nie wierzyła, że coś da się z tym zrobić. Stracone i już. Usiadła w kąciku klocków, budując wieżę, w której najchętniej by się schowała ze wstydu przed wszystkimi. Ile jednak można siedzieć w kąciku. Zaraz śniadanie i wspólne zabawy, a później wyprawa na podwórko. Dzieci z sankami i łopatkami do śniegu wybiegły razem z wychowawczynią na zaśnieżone podwórko.

- Czy to nie są rajstopy naszej Zosi?- zawołała pani Róża, wskazując huśtawki. Jedna z nich kołysała się lekko, zupełnie jakby ktoś przed chwilą się na niej huśtał.
- Moje rajstopy! Tak, to one!
- Niesamowite, jak one się tu znalazły?!- pani Róża chyba coś wiedziała o niezwykłych podróżach ubrań, bo uśmiechnęła się i spokojnie zdjęła ubranie z huśtawki. Zobaczyła ślady ocierania się o skały i zaplątany włos z sierści niedźwiedzia.- Mają nam zapewne dużo do powiedzenia o dalekiej wyprawie.

Emilia Chomutowska

BAJKA O ANIOŁKU FRANUSIU

Zbliżało się Boże Narodzenie. Wszystkie małe aniołki zostały wysłane na Ziemię, aby w tym czasie jeszcze więcej pomagały ludziom. Wśród nich znalazł się również aniołek Franuś. Zanim jednak Franuś opuścił Niebo martwił się, bo zupełnie nie miał pojęcia komu i w jaki sposób ma pomagać. O radę zapytał nawet doświadczonego anioła Kamaela. Ten popatrzył na niego dobrodusznie i odparł:
- Gdy będziesz już na miejscu, Twoje anielskie serduszko podpowie Ci, kto najbardziej tej pomocy potrzebuje.

Kiedy więc na mały, anielski wysłannik znalazł się na Ziemi, zaczął natychmiast poszukiwać kogoś, kto na pomoc oczekuje. Właśnie rozpoczynała się zima, lekki mrozek pościnał kałuże na chodnikach, a z góry tańcząc na wietrze spadały śniegowe płatki. Franuś przyglądał się ludziom, spieszącym się przed siebie, potrącającym się nawzajem, ale zupełnie nie zwracającym na siebie uwagi. Nagle w bramie ujrzał skuloną postać. Zaciekawiony pofrunął tam, gdzie bezdomny mężczyzna otulał się resztkami burego płaszcza, starając się ukryć przed mrozem i chłodem. Franuś usiadł mu na ramieniu i zawołał:

- Nazywam się Franuś, jestem aniołkiem zesłanym na Ziemię, aby pomagać ludziom. Mam wrażenie, że takiej pomocy potrzebujesz...

Bezdomny popatrzył na niego załzawione oczy, skrzywił się i burknął:
- Też mi coś – pomocnik się znalazł! A gdzie byłeś, aniołku, kiedy moja żona odeszła ode mnie, zabrała ze sobą naszą cudowną córeczkę? Gdzie byłeś, kiedy straciłem pracę, nie miałem z czego zapłacić za mieszkanie i znalazłem się na bruku? Dlaczego wtedy nie przyleciałeś do mnie i nie zaoferowałeś swojej pomocy?
Franuś nie bardzo wiedział co ma odpowiedzieć, spróbował więc jeszcze raz przekonać bezdomnego:
- Ale teraz jestem tu, żeby Ci pomóc. Zaufaj mi.
Bezdomny machnął tylko ręką, jakby odganiał natrętną muchę:
- Ja nie wierzę już w żadne anioły! Idź sobie i nie przeszkadzaj mi. Może ktoś się wreszcie zlituje i wrzuci mi kilka groszy do puszki, żebym mógł kupić sobie chociaż kromkę chleba!

Cóż począć, aniołek był bezsilny wobec ludzi, którzy odrzucali jego pomoc, bo nie mógł im pomagać na siłę. Pofrunął dalej, ale w tym samym momencie wszyscy przechodnie, którzy mijali bezdomnego jakby się zmówili – każdy wrzucił mu do puszki kilka monet, a niektórzy nawet wkładali banknoty. Po kilku chwilach bezdomny mógł kupić sobie cały bochenek chleba, wędlinę, a nawet coś słodkiego na deser.

Aniołek Franuś minął zatłoczone centrum miasta i znalazł się ulicach przedmieścia, gdzie życie toczyło się znacznie wolniej. Mniej samochodów, mniej ludzi biegnących przed siebie, więcej drzew i małych domków. Na podwórku jednego z takich domków ujrzał kobietę, która mimo, iż nie wyglądała na staruszkę, jakby uginała się pod ciężarem jakiegoś niewidzialnego brzemienia. Próbowała odśnieżać dróżkę prowadzącą do domu, a z jej oczu co chwila spływała kolejna łza. Aniołek natychmiast podążył w jej stronę.
- Nazywam się Franuś, jestem aniołkiem zesłanym na Ziemię, aby pomagać ludziom. Mam wrażenie, że takiej pomocy potrzebujesz... – zaszczebiotał zziajany.
Kobieta spojrzała na niego obojętnym wzrokiem. Skrzywiła się i goryczą odparła:
- Mówisz, że jesteś aniołkiem, który pomaga ludziom? Gdzie w takim razie byłeś, kiedy mój mąż miał wypadek samochodowy? Gdzie się podziewałeś, gdy umierał w szpitalu? Zostałam sama jak ten palec, nie mam nawet z kim spędzić Wigilii...
- Właśnie dlatego tu jestem, aby zmienić twoje życie – próbował przekonać ją Franuś.
- Eee, tam – machnęła ręką rozgniewana kobieta – Idź sobie swoją drogą, a mnie zostaw w spokoju! Nie wierzę już w żadne anioły ani tym bardziej w ich pomoc!

I z powrotem zabrała się do odśnieżania, a z jej oczu spływały kolejne łzy.

Cóż było robić – nasz Franuś musiał kontynuować swoje poszukiwania osoby, która zechce przyjąć zaoferowaną pomoc. Ale kiedy tylko opuścił kobietę, podeszła do niej sąsiadka i zaprosiła do siebie na Wigilię i całe święta. Franuś minął osiedle domków jednorodzinnych i znalazł się na peryferiach miasta, gdzie właśnie oddano do użytku ogromny hipermarket. Cały ogromny budynek oświetlało mnóstwo kolorowych lampek, a na dachu machał ręką do wchodzących klientów wielki, nadmuchiwany Mikołaj. Franuś zatarł z radości swoje małe rączki – może tutaj znajdzie wreszcie kogoś, kto będzie potrzebował pomocy i zechce ją przyjąć!

W środku hipermarketu było gwarno i głośno, z głośników płynęła świąteczna muzyka, na każdym stoisku błyszczały lampki na przystrojonych choinkach. Ale najpiękniejsza, największa i najstrojniejsza choinka stała na samym środku sklepu. Aniołek czym prędzej podfrunął do niej i zaczął przeglądać się w srebrnych i złotych bombkach. Robił przy tym tak zabawne minki, że sam śmiał się do rozpuku. Wreszcie usiadł sobie pod choinką i machając wesoło nóżkami przyglądał się przechodzącym ludziom.

Do sklepu weszło młode małżeństwo – Monika i Krzysztof. Pobrali się zaledwie parę miesięcy temu i cieszyli się z każdego wspólnie spędzonego dnia. Właśnie wybrali się na zakupy po prezenty dla całej rodziny – mam i tatusiów, braci i sióstr. Kiedy przechodzili obok choinki, stojącej na środku hipermarketu, Monika nagle zatrzymała się i zajrzała pod drzewko.

- Krzysiu, zobacz! – krzyknęła radośnie. – Jaki śliczny aniołek siedzi pod choinką!

-Nazywam się Franuś, jestem aniołkiem zesłanym na Ziemię, aby pomagać ludziom. Może potrzebujecie mojej pomocy – westchnął Franuś, bo stracił już nadzieję na to, że znajdzie wreszcie ludzi, którym mógłby pomóc.

- Ojej, naprawdę? – zdziwiła się Monika. – Ale my jesteśmy szczęśliwi i tak naprawdę nie potrzebujemy pomocy...

- Tak, ale chętnie zabierzemy Cię ze sobą do domu – dodał szybko Krzysztof. – Zamieszkaj z nami, aniołku.

I tak nasz mały aniołek zamieszkał z Moniką i Krzysztofem w ich małym, skromnym mieszkanku. Kiedy oboje wychodzili do pracy, aniołek siadał na parapecie i machając nóżkami przyglądał się temu, co dziej się na ulicy. A wieczorami razem z Moniką i Krzysiem siadali do kolacji, opowiadali sobie to, co przeżyli tego dnia, czasami grali „Chińczyka" albo w bierki.

Minęło dwanaście miesięcy. Znowu zbliżało się Boże Narodzenie. W mieszkaniu Moniki i Krzysztofa stanęła nieduża, ale świeża, pachnąca lasem choinka. Na jej gałązkach zawisły bombki, cukierki, rozbłysły kolorowe lampki.

Aniołek Franuś siedział pod choinką i nucił swoja ulubiona kolędę „Cicha noc", kiedy do pokoju weszli Monika i Krzysztof. Monika trzymała na ręku pulchnego bobasa, który rozglądał się wokół swoimi wielkimi oczyskami.

- Spójrz, Franiu – powiedział Krzysztof do maluszka. – Wkrótce będziesz sam ubierał choinkę. Już nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz biegać.

- Tak, syneczku – westchnęła Monika. – Tak szybko rośniesz...

A mały aniołek Franuś cieszył się razem z nimi z nadchodzących świąt i zbliżającego się Nowego Roku.

Elżbieta Janikowska

„Lustro” - Małgorzata Tomaszewska

„W ogrodzie” - Małgorzata Tomaszewska

„Odwilż” - Małgorzata Tomaszewska

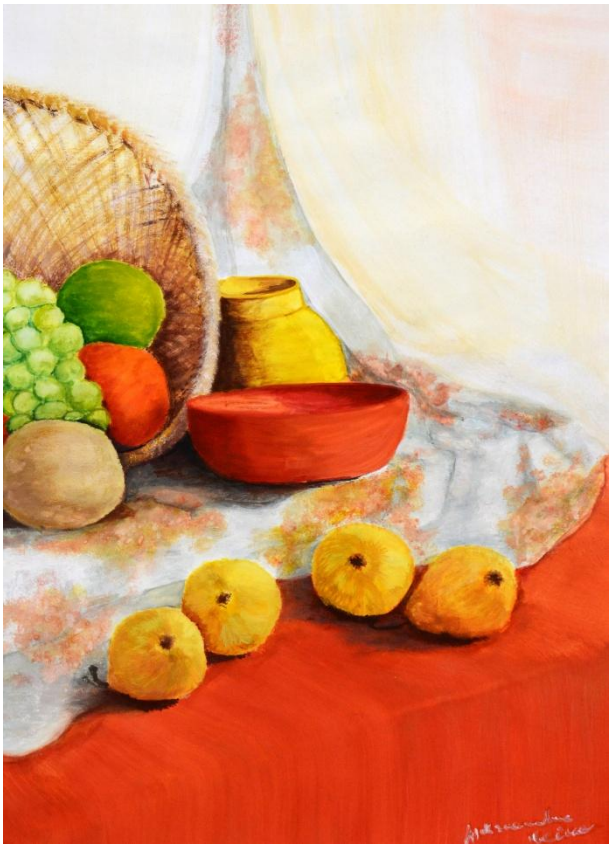

„Martwa natura” – Aleksandra Agnieszka Meina

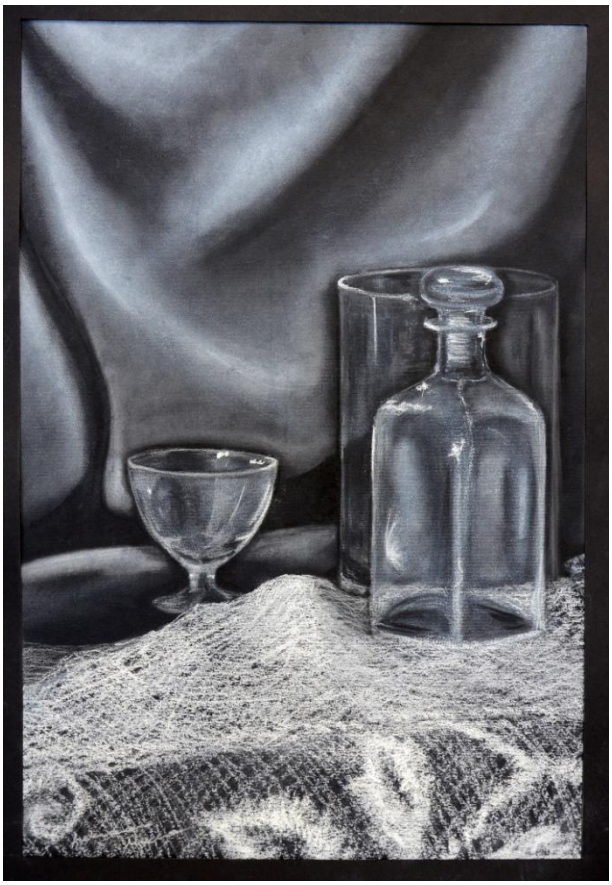

„Martwa natura” - Aleksandra Agnieszka Meina

„Smoczyca” – Joanna Dybowska

„Oddech miłości” – Joanna Dybowska

„Nad rzeką” - Barbara Drzemicka - Kardasz

„Potęga gór” - Barbara Drzemicka - Kardasz

”Morze” – wycinanka – Agnieszka Kozak

Mandala „Babie lato” – olej na płótnie

”Kosmos” – pastele olejne

Agnieszka Kozak

DWA KRÓLESTWA

(bajka terapeutyczna dla dzieci, których rodzice rozwodzą się)

Gdzieś bardzo daleko stąd, za dziesięcioma morzami i szesnastoma górami było królestwo, którym rządzili król Teofil i królowa Lilianna. Kiedy wiele lat temu miał miejsce ich wspaniały ślub, o którym długo wędrowni trubadurzy śpiewali pieśni, wszyscy wiedzieli, że tych dwoje pobiera się z wielkiej miłości. Największym królewskim skarbem był królewicz Dominik, który niedawno skończył sześć lat.

Królestwo było duże, pięknie położone wśród dolin i strumyków, a jego mieszkańcom nie brakowało nawet przysłowiowego ptasiego mleczka. Zapewne ich życie toczyłoby się spokojnie i bezpiecznie, gdyby nie jeden malusieńki problem.

Kłopot w tym, że zarówno król jak i królowa chcieli królestwem rządzić po swojemu. Królowa Liliana, która uwielbiała kwiaty, a szczególnie róże rozkazała swoim poddanym gdzie tylko się da urządzać rabaty kwiatowe, sprowadzała z dalekich krajów nasiona rzadkich roślin, a królestwu nadała nazwę „Królestwa herbacianej róży". Król Teofil natomiast, miłośnik napojów herbacianych uważał, że państwo, którym rządzi musi nosić nazwę „Królestwo różanej herbaty", wysyłał statki do zamorskich krain po coraz to nowe odmiany tego specyfiku, pragnął też aby jego poddani sami różne gatunki herbaty, a karczmy i zajazdy zamieniali w herbaciarnie. Zarówno król, jak i królowa polecili, aby nadworni geografowie sporządzali mapy z ich nazwą królestwa, każde z osobna zażądało wykonania swojej własnej pieczęci do zatwierdzania państwowych dokumentów: Lilianna – z wizerunkiem rozwijającego się pączka róży, Teofil – z symbolem liści herbacianych.

Mieszkańcy czasami sami już nie wiedzieli, w jakim królestwie mieszkają i co mają robić, aby zadowolić zarówno swego władcę, jak i jego małżonkę.

Różnica zdań królewskiej pary widoczna była na każdym kroku: codziennie rano król zlecał swoim kucharzom, aby podawali na śniadanie pieczonego łososia i dzbanuszek z parującą herbatą. Królowej absolutnie nie odpowiadał taki jadłospis i żądała natychmiastowego podania pieczywa z masłem i dżemem z dzikiej róży i soku owocowego. Biedni kucharze – zupełnie nie wiedzieli kogo mają słuchać, więc na wszelki wypadek przygotowywali dania, które lubi król i takie, które uwielbia królowa.

Również jeśli chodzi o wychowanie królewicza król i królowa mieli odmienne zdania. Królowa Lilianna zauważyła, że Dominik ma piękny głos, lubi śpiewać, więc wynajęła najznamienitszych nauczycieli śpiewu, aby kształcili królewskiego syna w tym kierunku. Król Teofil uważał, że takie wychowanie nie przystoi królewskiemu synowi, nie pozwoli Dominikowi stawać się silnym, dzielnym mężczyzną, który w przyszłości ma przejąć królewską władzę. Jego zdaniem Dominik powinien uczyć się jazdy konnej i władania mieczem. Tego z kolei obawiała się królowa . Jej zdaniem królewicz będzie tylko narażony na nieszczęśliwy wypadek, a do rządzenia królestwem wcale nie jest potrzebna siła, lecz mądrość i wdzięk. Dominik, mimo, że bardzo lubił zarówno śpiewanie, jak i jazdę konną, nie wiedział już kogo ma słuchać. Bardzo kochał oboje rodziców i nie chciał, żeby kłócili się przez niego.

Dlatego najchętniej spędzał czas, spacerując w królewskim ogrodzie i obserwując ptaki, które tam przylatywały.

Pewnego dnia, kiedy po raz kolejny król sprzeczał się z królową o to, jak ma przebiegać najważniejsze święto w ich królestwie, bo każde z nich miało zupełnie inny pomysł na organizację tego dnia, Teofil westchnął ciężko:

- Tak dalej być nie może! Wciąż się kłócimy, o byle głupstwo. Wyruszam na daleką wyprawę. Może po drodze zabiję jakiegoś smoka, albo znajdę zagubiony skarb.

Jak powiedział, tak zrobił. Kazał swej drużynie – a było to kilkudziesięciu silnych, dzielnych rycerzy, gotowych oddać życie w obronie swego władcy – przygotować się do podróży. Królowa ze smutkiem pożegnała swego małżonka, wiedząc, że jakikolwiek sprzeciw z jej strony nie odniesie żadnego skutku. Zaraz jednak zajęła się przygotowywaniem rabatek z sadzonkami nowej odmiany róż, które właśnie przywieziono z Dalekiego Wschodu.

- Tatusiu, nie jedź! – prosił Dominik ze łzami w oczach – Będę za tobą bardzo tęsknił…

Król Teofil przytulił syna do siebie, a nie chcąc okazać wzruszenia zwichrzył mu tylko czuprynę i obiecał:

- Będę przesyłał ci wiadomości z mojej podróży. Raz w tygodniu otrzymasz ode mnie prezent, żebyś przez cały czas wiedział, że myślę o tobie i niebawem się spotkamy.

Kiedy król wyjechał, w królestwie zrobiło się jakoś dziwnie smętnie. Poddani przyzwyczajeni do wiecznych utarczek pomiędzy małżonkami poczuli się jakoś nieswojo. Wkrótce jednak kolejne rozporządzenia królowej Lilianny sprawiły, że wszyscy zajęli się pracą w ogrodach, hodowano nowe odmiany kwiatów, które niebawem stały się znane na całym świecie, a różom z Królestwa Herbacianych Róż nie było równych! Królewicz Dominik szlifował zaś swój warsztat wokalny, a wieczory spędzał na wysłuchiwaniu koncertów pieśniarzy, których królowa zapraszała na królewski dwór. Młody królewicz bardzo jednak tęsknił za swym tatą i niecierpliwie czekał na jakąkolwiek wiadomość z podróży.

Król dotrzymał słowa. Raz w tygodniu pojawiał się w zamku posłaniec z prezentem dla Dominika i listem od jego ojca. Król Teofil opowiadał o przygodach, jakie go spotkały podczas wyprawy, o złoczyńcach, z którymi walczył, o smokach, które pokonał, o dzikiej zwierzynie, na którą polował. Na dowód, ze opowieści te były prawdziwe Dominik otrzymywał pazur smoka, kieł dzika albo sakiewkę ze szmaragdem, którą król odebrał zbójcom z Mrocznych Gór.

Pewnego jesiennego poranka na Dominika czekała niespodzianka. Jego ojciec przysłał kilku rycerzy, aby zabrali Dominika do królestwa, w którym król Teofil postanowił zostać na dłużej. Jego drużyna pokonała złego czarnoksiężnika, który bezprawnie rządził państwem. Wdzięczni mieszkańcy obwołali Teofila swoim królem i prosili, aby został z nimi na zawsze. Kiedy okazało się, że królestwo słynie z plantacji herbaty, a napój ten jest narodowym napojem mieszkańców, król Teofil podjął natychmiastową decyzję – zostaje! Wysłał więc swoich zaufanych wojów, aby przywieźli królewicza Dominika w odwiedziny do nowego Królestwa Różanej Herbaty. Wiedział doskonale, że królowa Lilianna świetnie poradzi sobie z rządzeniem

Królestwem Herbacianej Róży. Dominikowi bardzo spodobało się w nowym królestwie taty, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec nie chce wrócić do domu. Król Teofil kazał podać gorącą herbatę malinową i cierpliwie tłumaczył synkowi:

- Będziemy się nawzajem często odwiedzać, ale w końcu przestaniemy się z mamą kłócić. Ona ma swoje Królestwo Herbacianej Róży, którym morze rządzić według swego upodobania, a ja mam Królestwo Różanej Herbaty, w którym wreszcie będę jedynym władcą. A ty w przyszłości odziedziczysz oba królestwa i wierzę w to, że wyrośniesz na wspaniałego króla!

Tak też się stało. Od tej pory Dominik spędzał kilka miesięcy w królestwie swego taty. Tam uczył się jazdy konnej, brał udział w polowaniach, doskonalił się we władaniu mieczem, no i rozkoszował się smakiem najróżniejszych odmian herbaty. Przez pozostałą część roku mieszkał ze swoją mamą i wtedy uczył się śpiewu, oglądał występy trubadurów i magików oraz razem z królową Lilianną pielęgnował nowe gatunki kwiatów w królewskich oranżeriach. Od czasu do czasu król Teofil spotykał się z królową Lilianną na królewskich balach i wtedy długo rozmawiali ze sobą jak dwoje najlepszych przyjaciół.

A kiedy królewicz Dominik skończył osiemnaście lat został władcą Królestwa Herbacianej Róży i Różanej Herbaty, ale to już zupełnie inna bajka…

Elżbieta Janikowska

PRZYJACIELE Z MALINOWEGO LASU

Przedszkole „Pod sosenką”

Niedaleko stąd rośnie piękny, stary las. Nazwano go Malinowym Lasem i to nie tylko dlatego, że jest w nim mnóstwo krzaków malin. Wieczorami, kiedy słońce chowa się za wysokimi drzewami, wygląda jak dojrzała, dorodna malinka.W Malinowym Lesie, w norce za strumykiem mieszkała zajęcza rodzinka. Był tata Józef, mama Klementyna i ich dwaj synkowie: straszy Jacuś i maleńki jeszcze Piotruś.

Pewnego dnia mama powiedziała do Jacusia:

- Jesteś już dużym zajączkiem, wkrótce zaczniesz chodzić do leśnego przedszkola. Spotkasz tam wielu przyjaciół i nauczysz pożytecznych rzeczy.

Zdenerwowany zajączek wieczorem nie mógł zasnąć, a potem śniły mu się koszmary. Kiedy w nocy obudził się z krzykiem, mama długo nie mogła go uspokoić.

- Ja nie chcę iść do żadnego przedszkola ! – płakał żałośnie.

Następnego dnia rano mama powiedziała:

- Jacusiu, zabieram Cię dzisiaj na wyprawę. Odwiedzimy pewne tajemnicze miejsce.

Jacuś był bardzo ciekawy, co też mamusia wymyśliła, więc szybciutko zjadł śniadanko i nawet nie trzeba go było zachęcać do mycia ząbków.

Na wspólną wyprawę mama zabrała także Piotrusia. Dzień był wyjątkowo piękny, słoneczny, prawie bezwietrzny. Jacuś z mamą i braciszkiem najpierw spacerowali wzdłuż strumyka, potem dotarli do niewielkiej polanki. Tam mama wyjęła przygotowane na drogę liście sałaty, więc spałaszowali je ze smakiem. W końcu cała trójka dotarła do sosnowego zagajnika. Jacuś usłyszał nagle wesołe okrzyki i śmiechy. Pod jedną z sosenek wesoło bawiły się maluchy: jeżyki, wiewióreczki, myszki i inne zwierzątka, a całemu towarzystwu przyglądała się pani borsukowa. Na widok Jacusia, jego mamy i braciszka uśmiechnęła się radośnie:

- Witamy, witamy wspaniałych gości w naszym „Przedszkolu pod sosenką”!

- To jest przedszkole? – zdziwił się Jacuś.

- Tak – powiedziała pani borsukowa. – Wszystkie małe zwierzątka spędzają tu miło czas, kiedy ich rodzice są zajęci. Przy wspólnej zabawie czas bardzo szybko mija.

Rzeczywiście, zwierzątka zdawały się nie zwracać uwagi na nic innego oprócz zabawy. Pani borsukowa zaproponowała, że pokaże gościom jeszcze wnętrze przedszkola w wielkiej dziupli. Jakże tam było pięknie i kolorowo – mnóstwo zabawek, rysunków. Piotruś wyciągał swoje małe łapki, wszystkiego chciał dotknąć, a kiedy mama powiedziała, że muszą już iść rozpłakał się, bo chciał tu jeszcze zostać.

- Jesteś jeszcze malutki, Piotrusiu – pokręciła głową mama. – Kiedy urośniesz, tak jak Jacuś, zaczniesz chodzić do przedszkola. Ale musisz jeszcze trochę poczekać.

Jacuś był bardzo dumny, że jest już takim dużym zajączkiem, a w przedszkolu bardzo mu się podobało, więc chciał tam iść jak najszybciej. Cała jego odwaga prysła jednak, kiedy następnego ranka zdał sobie sprawę, że zostanie w przedszkolu sam, bez mamy. Mama

zauważyła, że Jacuś jest zmartwiony. Wyciągnęła z szafy drewnianą szkatułkę. W środku był dziwny przedmiot.

- To klepsydra – objaśniła mama. – Taki bardzo stary zegarek. Dostałam ja od swego dziadka. W przedszkolu ustawimy ją na półeczce, a gdy cały piasek przesypie się z górnej części klepsydry do dolnej, wtedy przyjdę i zabiorę cię do domu.

W przedszkolu „Pod sosenką" było już dużo innych zwierzątek. Pani borsukowa z uśmiechem witała wszystkie maluchy. Tylko mała myszka Frania siedziała w kąciku i płakała. Jacuś podszedł do niej i podał jej łapkę:

- Chodź – powiedział – Popatrz, kiedy piasek w klepsydrze przesypie się, przyjdą nasze mamy.

Wkrótce dołączyły do nich inne zwierzątka. W końcu wiewióreczka krzyknęła:

- To nudne, tak się przyglądać! Chodźmy lepiej do zabawy!

Wkrótce wszyscy bawili się w chowanego, ciuciubabkę i berka. Nikt nie zauważył, że czas szybko minął i pojawiły się mamy.

- Mamusiu – powiedział Jacuś wracając do domu – Już nie potrzebuję klepsydry, wolę bawić się w przedszkolu z moimi nowymi przyjaciółmi.

Którędy do domu?

Okazało się, że norka myszki Frani znajduje się bardzo blisko domku Jacusia, a więc są sąsiadami. Rodzice myszki oprócz niej mieli jeszcze osiem małych myszątek, którymi Frania często musiała się opiekować. Zawsze jednak znalazła chwilę na zabawę z Jacusiem, którego od razu bardzo polubiła.

Pewnego wrześniowego popołudnia Jacuś i Frania fikali koziołki na łączce koło strumyka. Nagle tuż nad samym noskiem Frani zatrzepotał skrzydełkami barwny motylek.

- Spójrz, Jacusiu! – zachwyciła się myszka. – Jaki piękny motylek!

- Biegnijmy za nim! – krzyknął zajączek i co tchu w łapkach pokicał za owadem, który podążył w kierunku. Frania ruszyła jego śladem. Motylek fruwał między drzewami, aż w końcu zupełnie zniknął zwierzątkom z oczu.

Zziajany Jacuś rozejrzał się dookoła. Znaleźli się w tej części lasu, która była dla nich zupełnie obca.

- Jak teraz wrócimy do domu? – załamała łapki Frania.

Dzięcioł, który szukał korników w korze sosny, przerwał swą pracę i zapytał:

- Co takie maluchy robią same w gęstym borze?

- Zabłądziliśmy … - przyznał Jacuś.

- A gdzie mieszkacie? – dopytywał dalej dzięcioł.

- Nie wiemy… - pokręcił głową zajączek.

Nagle myszka przypomniała sobie:

- Już wiem, obok naszych norek płynie strumyk!

Dzięcioł pokiwał głową:

- Macie szczęście, że wiem, gdzie to jest. Zaraz zaprowadzę was do domu.

Dzięcioł zatoczył w powietrzu kółko i poleciał, a Frania i Jacuś pobiegli za nim. Wkrótce zobaczyli znajomą dróżkę, brzózki, a wreszcie strumyk. Pięknie podziękowali panu dzięciołowi i pobiegli do swoich domków.

- Zapamiętaj, synku – mówiła wieczorem mama, gdy Jacuś opowiedział jej swoją przygodę. – Nasz adres to: pierwsza norka przy strumyku. I nie oddalaj się już od domu.

- Zapamiętam, mamo – obiecał Jacuś. – Na pewno zapamiętam!

Jesienny spacer

- Jaka piękna pogoda! – powiedziała pani borsukowa, kiedy wszystkie zwierzątka przyszły już do przedszkola „Pod sosenką" .– Szkoda zmarnować takiej okazji! Idziemy na jesienny spacer!

Oczywiście przedszkolaki bardzo się ucieszyły, bo spacer to niezwykle przyjemna sprawa. Pani borsukowa powiedziała, żeby wszyscy ustawili się parami. Jacuś od razu podał łapkę Frani, Melcia natychmiast pokicała do Basi, a jeżyk Rysio zdecydował, że pójdzie w parze z Jędrusiem, chociaż z pewnością będą szli bardzo wolno.

W lesie było cicho i przyjemnie, leciutki wiatr szumiał w gałązkach wysokich drzew.

- A co będziemy robić? – zapytała nagle Helcia.

- Ja wiem! – krzyknął Rysio. – Ja będę się bawił w rycerza, tylko zaraz przygotuję sobie miecz!

Niewiele myśląc podbiegł do najbliższego krzaczka i zaczął wyłamywać z niego gałązkę. Zanim pani borsukowa zdążyła coś powiedzieć, zerwał się silny wiatr, który porwał liście leżące na ziemi i uniósł je do góry. Rysio ze zdumieniem patrzył, jak układają się one w postać jakiejś pani, która z gniewem kręci głową. Jeżyk odskoczył od krzaczka jak oparzony.

- Widzicie, przyroda gniewa się, kiedy próbujemy ją krzywdzić! – powiedziała pani borsukowa.

- Przepraszam…- wyjąkał zawstydzony Rysio.

Wiatr ucichł i listeczki wolno opadły na ziemię.

- Wiecie co…- krzyknęła nagle Frania. – Nazbierajmy liści, ale tylko takich, które spadły z drzew, a potem ułożymy z nich piękne bukiety.

- Świetny pomysł! – powiedziała pani borsukowa. – Może wykonamy z nich jakieś prace plastyczne. I koniecznie musimy przypomnieć, co wolno, a czego nie wolno nam robić w lesie. W końcu jesteśmy tu tylko gośćmi…

Czarodziejski kamyk

Jacuś wracając z przedszkola znalazł na dróżce kamyk. I nie był to jakiś tam zwyczajny kamyk, o nie! Był gładziutki, jak szkiełko, błyszczący i zielony. Kiedy Jacuś przyłożył go do oka cała świat wyglądał jak zielony obrazek, a kiedy podniósł kamyk w górę i spojrzał na słońce wszystko dookoła zrobiło się złote i żółtawe jak cytrynka.

- To musi być czarodziejski kamyk! – pomyślał Jacuś i mocno ścisnął znalezisko w łapce. Postanowił natychmiast wypróbować moc kamyczka.

Dzień był nieco pochmurny, słoneczko błąkało się gdzieś miedzy obłokami.

- Czarodziejski kamyku, spraw, żeby zaświeciło słońce! – szepnął Jacuś.

Nie minęła chwila, a niebo rozjaśnił słoneczny blask.

- A jednak, działa! – krzyknął uradowany zajączek i pobiegł do swego domku.

Okazało się, że mama była w nienajlepszym humorze. Piotruś cały czas marudził i nie chciał się zdrzemnąć.

- Po obiedzie posprzątasz swój pokój – powiedziała mama do Jacka.– Okropny tam bałagan.

Zajączek pomyślał, że to doskonałe zadanie dla czarodziejskiego kamyka. Po obiedzie pomknął do swego pokoju.

- Czarodziejski kamyku, spraw, żeby wszystko samo się poukładało! – zakomenderował.

Minęła chwila i nic, bałagan wciąż ten sam.

- Czarodziejski kamyku, chcę, żeby w moim pokoju był porządek! – zdenerwował się Jacuś,

I znowu nic, żadna zabawka nie wróciła na swoje miejsce.

Do pokoju weszła mama.

- Jacusiu, prosiłam cię, żebyś posprzątał… - zmartwiła się.

- Myślałem, że ten czarodziejski kamyk mi pomoże… - Jacuś wyciągnął łapkę, na której leżał kamyczek.

- Kamyk jest śliczny – powiedziała mama, odkładając go na półeczkę .– I może być pierwszym eksponatem w twojej kolekcji kamieni. Ale porządek musisz zrobić sam.

- Masz rację, mamusiu – przyznał Jacuś i od razu zabrał się do pracy.

Urodziny Frani

W sobotę Frania miała urodziny. Mama urządziła jej przyjęcie dla znajomych z przedszkola. Frania dużo wcześniej zaprosiła gości. Wszystkie zwierzątka bardzo ucieszyły się.

Przez cały dzień myszka szykowała swój pokoik na przyjęcie gości. Ozdobiła go balonikami i kolorowymi rysunkami. Mama przygotowała pyszne smakołyki i sok z jeżyn. Oczywiście był też tort, który cierpliwie czekał w spiżarni.

Goście mieli zjawić się o szesnastej. Jacuś przybiegł kilkanaście minut wcześniej, bo nie mógł wytrzymać. Punktualnie zjawili się Melcia, Basia i Rysio. Każdy miał dla solenizantki drobny upominek i bukiecik kwiatków z łąki nad strumykiem. Wszyscy złożyli jej życzenia. Tylko Jędrusia nie było.

- Może się rozchorował? – zastanawiał się Jacuś.

- Albo mama nie pozwoliła mu wyjść z domu… - dodała Helcia.

Zwierzątka postanowiły nie czekać i zacząć zabawę. Minęła godzina, gdy zjawił się Jędruś.

- Dlaczego nie poczekaliście na mnie? – powiedział obrażony, kiedy zobaczył, że zabawa trwa w najlepsze.

Okazało się, że ślimak nie miał żadnego prezentu dla Frani, nie złożył jej nawet życzeń. Za to pierwszy dopadł do tortu i ledwie myszka zdążyła zdmuchnąć świeczki, złapał największy kawałek i wpakował sobie do pyszczka.

- Bawimy się w chowanego! – krzyknął z pełną buzią i nie chciał nawet słyszeć o tym, że Frania przygotowała zabawę w fanty.

Kiedy mama Frani powiedziała, że przyjęcie skończone i czas wracać do domów, Jędruś oburzył się:

- Ja to, przecież zabawa dopiero się zaczyna! E, co to za przyjęcie…

Kiedy goście już wyszli, Frania przytuliła się do mamy:

- Było fajnie, ale Jędrusia już więcej nigdy nie zaproszę … - pisnęła.

- Myślę, że Jędruś musi się jeszcze dużo nauczyć, a wtedy, kto wie, może warto dać mu jeszcze jedną szansę – uśmiechnęła się mama Frani.

Spotkanie

Kiedy Jacuś obudził się rano, mama była zmartwiona:

- Jacusiu, nie będę mogła odprowadzić cię dzisiaj do przedszkola –powiedziała. – Piotruś jest chory, ma temperaturę. Nie możemy wziąć go ze sobą ani zostawić samego w domu…

- Nie martw się mamusiu – odparł Jacek. – Jestem już duży i sam trafię do przedszkola.

- Doskonale! – ucieszyła się mama. – Ale po drodze zabierz ze sobą Franię, jej mama o to prosiła.

Tak więc Jacek i Frania sami pomaszerowali do przedszkola. Byli bardzo dumni, że są już tacy dorośli. Jacuś opowiadał Frani bajkę o smoku, którą tata czytał mu wieczorem na dobranoc. Byli już w połowie drogi, kiedy z zarośli wyszła na ścieżkę jakaś dziwna postać. Była cała zielona, miała długi ogon i wielkie, wyłupiaste oczy.

- Smok! – wrzasnął przerażony Jacek i rzucił się do ucieczki, a Frania niewiele myśląc ile sił w łapkach podążyła za nim.

Zziajani, ledwie żywi wpadli do przedszkola „Pod sosenką” i chcieli natychmiast podzielić się straszną wiadomością z panią borsukową. Musieli jednak trochę poczekać, bo okazało się, że pani borsukowa jest na razie bardzo zajęta.

- Moi drodzy – powiedziała, kiedy już wreszcie weszła do sali. - Chciałabym wam teraz przedstawić waszą nową koleżankę.

Odsunęła się na bok, a oczom wszystkich ukazał się nie kto inny a smok z lasu.

- Och! – pisnęła Frania i schowała się za Jacka.

- To jaszczurka Inka – uśmiechała się pani. – Mam nadzieję, że szybko się zaprzyjaźnicie.

- To ty nie jesteś smokiem? – dziwił się Jacuś.

- Coś ty! – roześmiała się Inka. – Smoki są tylko w bajkach. Lepiej chodźmy na podwórko, pobawimy się w chowanego. Zobaczycie, jak moja skóra potrafi doskonale dopasować się do koloru gałązek lub trawy.

Inka miała rację – nikt nie potrafił tak doskonale chować się, jak ona. Wszyscy orzekli, że zostanie mistrzynią zabawy w chowanego.

Nowa zabawka

W przedszkolu „Pod sosenką" pojawiły się nowe zabawki. Wszystkie przedszkolaki nie posiadały się z radości! Wspaniałe, kolorowe klocki, z których można było budować ogromne zamki, kilka nowych piłek, ale największe zainteresowanie wzbudził śliczny żółty samochodzik, który po nakręceniu z zawrotną prędkością przemierzał całą salę. Wszyscy chcieli bawić się tym autkiem, ale chyba najbardziej pragnął tego Jędruś.

Kiedy po obiedzie pani pozwoliła pobawić się zabawkami Jacuś, Rysio i Jędruś rzucili się w kierunku żółtego auta. Rysio siedział najbliżej półki z zabawkami, więc pierwszy złapał samochodzik w swoje łapki i przez całe popołudnie nie rozstawał się z nim. A Jędruś przez całą noc marzył i śnił o tym, że bawi się wymarzoną zabawką.

Następnego dnia po obiedzie Jędruś postanowił, że tym razem on pierwszy dopadnie do upragnionego autka, ale niestety, Jacuś był szybszy. Po chwili Jędruś z żalem patrzył, jak zajączek bawi się nakręcanym samochodzikiem.

Kiedy wszystkie zwierzątka po skończonych zajęciach rozchodziły się do domów, Jędruś wpadł na wspaniały pomysł. Poczekał, aż wszyscy wyjdą z sali i ukrył śliczny, żółty samochodzik za szafką.

- No – sapnął z dumą. – Jutro już nikt mi go nie odbierze i będę mógł się bawić samochodzikiem przez cały dzień.

Następnego ranka gdy tylko Rysio wszedł do przedszkola zauważył brak nowej zabawki.

- Proszę pani, proszę pani – pobiegł natychmiast do pani borsukowej. – Gdzie jest żółty samochodzik? Nie ma go na półce…

- Pewnie wczoraj po zabawie nie postawiliście go na swoim miejscu- pani borsukowa pokręciła głową i kazała wszystkim poszukać zaginionej zabawki. Ale niestety, mijał czas a nikt nie mógł znaleźć zguby.

Jędruś spóźnił się nieco do przedszkola, bo napotkał na swojej drodze ogromną kałużę i zanim ją ominął upłynęło trochę czasu. Zdziwił się, kiedy zauważył w przedszkolu zamieszanie.

- Co się stało? – zapytał Frani, które zaglądała pod stoliki.

- Szukamy żółtego autka! – sapnęła zmartwiona myszka – Od rana nie możemy go znaleźć.

Jędruś nie wiedział, co ma zrobić. Jeśli powie, że to on schował samochodzik, z pewnością zostanie ukarany. Ale jeśli nie wskaże, gdzie ukrył autko sam nie będzie mógł się nim dzisiaj bawić. Nie wiedząc, co ma począć rozpłakał się bezradnie. Pani borsukowa ze zdziwieniem i troską popatrzyła na ślimaka:

- Co z tobą, Jędrusiu, źle się czujesz? Może jesteś chory i nie powinieneś był dzisiaj iść do przedszkola?

- To ja schowałem samochodzik! – zaszlochał zawstydzony Jędruś – Tak bardzo chciałem się nim pobawić, a wciąż ktoś go zabierał z półki przede mną. Pomyślałem, że jak schowam go za szafkę, to dzisiaj będę mógł się nim pobawić…

Jacuś natychmiast pobiegł i wyciągnął zza szafki zgubę.

- Jest! – krzyknął z triumfem – Nic mu się na szczęście nie stało! To ja się chcę nim teraz pobawić!

Ale pani borsukowa pokręciła przecząco głową:

- Jacusiu, odstaw proszę samochodzik na półkę! Jędruś postąpił źle chowając go, ale nie może być tak, że ten kto jest szybszy i silniejszy zabiera innym zabawkę. Musimy ustalić grafik – każdego dnia ktoś inny będzie mógł bawić się żółtym samochodzikiem. Tak będzie sprawiedliwie!

- Proszę pani, a ja mam jeszcze lepszy pomysł! – wykrzyknął nagle Rysio – Przecież możemy bawić się samochodzikiem razem – ja, Jacuś i Jędruś. Będziemy puszczać samochodzik do siebie nawzajem.

Tego popołudnia cała trójka zgodnie bawiła się żółtym autkiem, ale już następnego popołudnia Jacuś, Rysio i Jędruś zaczęli budować domki z klocków. Zabawa żółtym samochodzikiem już im się znudziła.

Znalezione kasztany

Jacuś szedł dzisiaj do przedszkola z niemrawą miną. Pani borsukowa kazała przynieść kasztany – będą je liczyć, a potem robić z nich kasztanowe zwierzątka. Jacuś nawet miał zamiar wczoraj nazbierać kasztanów, ale jakoś tak wyszło, że nie miał czasu. Najpierw bawił się z Piotrusiem, potem jadł obiad, jeszcze później pomagał tatusiowi zreperować zepsute drzwi, a w końcu okazało się, że jest bardzo późno i trzeba iść spać. Oj, będzie się gniewała pani borsukowa, że Jacuś nie przygotował się do zajęć!

Całe szczęście, że zajączek szedł ze spuszczoną główką, w przeciwnym razie bardzo możliwe, że nie zauważyłby leżącej na dróżce papierowej torebki. Jacuś – z natury bardzo ciekawskie zwierzątko – postanowił natychmiast do niej zajrzeć i sprawdzić, co jest w środku. Jaka była jego radość, kiedy wyciągnął z torebki pięć dorodnych kasztanów. Zupełnie jakby jakaś dobra wróżka podrzuciła mu je pod łapki.

Nie namyślając się długo pobiegł do przedszkola. Wszyscy jego przyjaciele siedzieli już przy swoich stolikach, na których brązowiły się różnej wielkości kasztany. Jacuś z dumą postawił na swoim stoliku znalezioną torebkę.

Nagle ktoś wybuchnął głośnym płaczem. Oczy wszystkich zwierzątek zwróciły się w stronę stolika Inki, która rozpaczliwie poszukiwała czegoś w swoim plecaczku.

- No przecież sama je tu wkładałam! – szlochała. – A tak się wczoraj starałam, żeby zebrać najpiękniejsze kasztany…

Pani borsukowa natychmiast ruszyła na pomoc zrozpaczonej jaszczurce.

- Co się stało, Inko, czego szukasz? – zapytała z troską.

- Kasztany, tu były moje kasztany! – łkała nadal Inka, potrząsając plecaczkiem.

Pani borsukowa sama jeszcze raz sprawdziła jego zawartość, a ponieważ rzeczywiście kasztanów w nim nie było, zaczęła wypytywać zrozpaczoną jaszczurkę:

- Inko, przypomnij sobie, może po prostu nie włożyłaś kasztanów do plecaka?

- Na pewno włożyłam, na chwilę przed wyjściem do przedszkola. Miałam pięć dużych, pięknych kasztanów, zapakowałam je do papierowej torebki, o takiej samej, jak ma Jacuś. – Inka podbiegła do stolika Jacusia i podniosła torebkę do góry.

- Tylko moja torebka miała na spodzie naklejony zielony listek – dodała i otworzyła pyszczek ze zdumienia, bowiem taki właśnie zielony listek ukazał się oczom wszystkich zebranych.

- Ale to właśnie jest moja torebka! – krzyknęła z zachwytem.

Pani borsukowa zmarszczyła brwi:

- Jacusiu, co to ma znaczyć? Dlaczego masz na swoim stoliku torebkę z kasztanami Inki?

- Ale to nie są kasztany Inki, ja je znalazłem na dróżce… - próbował bronić się zajączek, chociaż czuł, że za moment zapadnie się ze wstydu pod ziemię.

- Pewnie wypadły mi z plecaka, gdy biegłam do przedszkola – roześmiała się Inka. – Ale dlaczego ty, Jacusiu, nie przyznałeś się, że je znalazłeś?

- Bo, bo – wyjąkał zajączek – Nie miałem swoich kasztanów i myślałem, że trafiła mi się niezła gratka…

- Rzeczy znalezione nie należą do nas! – pokiwała palcem pani borsukowa. – Pamiętajcie, moi drodzy, że należy odszukać właściciela znalezionego przedmiotu i oddać go. Ktoś może się bardzo martwić z powodu zguby tak jak nasza Inka!

- Już nigdy więcej tak nie zrobię… - pisnął zmartwiony Jacuś.

- Dobrze już, dobrze, to będzie doskonała lekcja dla was wszystkich. – chrząknęła pani borsukowa, zadowolona, że udało się wyjaśnić całą sytuację. – Teraz zabieramy się do robienia kasztanowych zwierzątek.

- Ja nie będę mógł ich robić, bo nie mam kasztanów – szepnął cicho Jacuś.

- Nie martw się Jacusiu! – krzyknęła Inka. – Dam ci dwa moje kasztany!

- Ja też! – klasnęła w łapki Frania – Mam ich aż osiem!

- Ja mam dziesięć kasztanów! – z dumą wtrącił Rysio. – Trzy podaruję Jacusiowi.

Wkrótce na parapecie przedszkolnego okna stało całe kasztanowe zoo.

Świetna zabawa

Po południu pani borsukowa wraz z całą grupą przedszkolaków wybrała się na jesienny spacer. Wszędzie można już było zauważyć, że jest późna jesień – na gałęziach smętnie powiewały ostatnie, zmarznięte liście, było mokro, smutno i szaro.

- E tam, taki spacer – mruknął Rysio. – Nudzi mi się…

Jacuś kopnął nóżką kawałek gałęzi, który leżał pod drzewem:

- Zobacz Rysiu, jaka śmieszna gałąź! Wygląda zupełnie jak rogi…

Rysio podniósł gałąź i zaczął się jej bacznie przyglądać. Nagle oczka zaiskrzyły mu złowieszczym blaskiem:

- Mam świetny pomysł! Ale będzie zabawa…

W tym samym czasie Frania próbowała śledzić małego żuczka, który z mozołem przenosił na swoich plecach wielką, sosnową igiełkę. Ciekawe, dokąd zmierza ten siłacz? Z noskiem tuż przy ziemi myszka podążała za żuczkiem, kiedy nagle zza ogromnego dębu wyłoniła się straszliwa postać: na głowie miała wielkie rogi, czerwone oczyska ledwie widoczne spod kudłatej czupryny zdawały się strzelać błyskawicami. A kiedy jeszcze monstrum zaczęło potrząsać tą łepetyna i wydawać jakieś dziwne odgłosy, Frania z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki. Zaalarmowana krzykiem myszki pani borsukowa i inne zwierzątka natychmiast otoczyły przerażoną Franię, która szlochając nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Pani borsukowa przytuliła myszkę do siebie:

- Uspokój się, Franiu, nic ci nie grozi. Powiedz nam co się stało!

- Popopopotwóóóóór! – wydusiła wreszcie z siebie myszka, wskazując łapką miejsce, gdzie ujrzała tą okropną postać.

Pani borsukowa kazała wszystkim pozostać na miejscu, a sama chwyciwszy w łapki sękaty kij powoli zbliżyła się do dębu.

- Chi, chi, chi – usłyszała nagle głosy dochodzące zza drzewa. – Ale ją nastraszyliśmy! Uciekała, jakby zobaczyła ducha!

Pani borsukowa pokręciła z niedowierzaniem głową, odrzuciła na bok sękaty kij i za chwile wyprowadziła zza dębu dwóch sprawców całego zamieszania: Rysia i Jacusia. Ci dwaj wlekli za sobą wykonaną naprędce z gałęzi, mchu, zeschłych liści i jarzębiny kukłę. To tego właśnie zlękła się Frania.

- Jak mogliście tak przestraszyć koleżankę?! – z wyrzutem zapytała pani borsukowa – Frania do tej pory nie może dojść do siebie!

- Ale my się tylko tak bawiliśmy, proszę pani ….- próbował bronić się Rysio.

- Tak – potwierdziła pani. – Wy obaj doskonale się bawiliście, ale czy Frania może powiedzieć to samo? Nie można bawić się czyimś kosztem. To nie jest zabawa. Musicie natychmiast przeprosić koleżankę!

Rysio i Jacuś ze spuszczonymi główkami podeszli do Frani:

- Wybacz nam, Franiu – bąknął Jacuś. – Nie chcieliśmy, żebyś płakała.

- Myśleliśmy, że ty też się dobrze bawisz… Wiesz co, pobaw się z nami, mam świetny pomysł!- dodał Rysio.

- Byleby tylko mądrzejszy od poprzedniego…- pokiwała palcem pani borsukowa.

Ale Rysio i Jacuś ani myśleli o dalszych figlach. Ogłosili wszem i wobec, że Frania jest królewną, a oni jej rumakami. Spletli z łapek krzesełko, na którym posadzili myszkę i galopowali z nią po polanie, krzycząc co chwila:

- Z drogi, jedzie jej królewska mość Frania na swych dzielnych rumakach!

A myszka zaśmiewała się do rozpuku, bo to była naprawdę świetna zabawa!

„Czy święty Mikołaj naprawdę istnieje?"

Pani borsukowa od samego rana była bardzo tajemnicza. Wreszcie po śniadaniu oznajmiła:

- Dzisiaj nasze przedszkole odwiedzi święty Mikołaj! Postarajcie się być wszyscy bardzo grzeczni, bo nie chciałabym, żeby któreś z was znalazło pod choinką rózgę zamiast prezentu...

- Ojej! – klasnęła w łapki Frania. – Już nie mogę się doczekać...

Ale Rysio tylko skrzywił się z niesmakiem i fuknął:

- A ja tam nie wierzę w żadnego świętego Mikołaja! No, kto z was widział go chociaż raz? – zapytał zaczepnie.

Wszystkie zwierzątka milczały – tak naprawdę Mikołaja oglądały tylko w książce z bajkami. Prezenty zawsze znajdowały pod choinką, ale czemu tu się dziwić – jeśli święty Mikołaj ma odwiedzić wszystkie maluchy na całym świecie, to naturalne, że musi się bardzo spieszyć.

- A widzicie! – zakończył z tryumfem jeżyk. – Nie ma żadnego świętego Mikołaja! To wszystko jedna wielka ściema! Dorośli chcą, żebyśmy byli grzeczni, więc straszą nas bajkami!

Wszystkim zwierzątkom zrobiło się bardzo przykro, bo wizyta świętego Mikołaja to najbardziej wyczekiwany moment w całym roku. Jeśli nie ma Mikołaja, to wszystko traci sens.

- A ja i tak wierzę, że święty Mikołaj przynosi prezenty... – nieśmiało pisnęła myszka Frania.

- I ja też...

- Oczywiście, że Mikołaj istnieje – dały się słyszeć kolejne coraz głośniejsze wyznania przedszkolaków.

Rysio zrezygnowany machnął łapką:

- E tam, dzieciaki z was...

Po śniadaniu całe przedszkole wyszło na podwórko. W nocy spadł świeży śnieg, więc można było zbudować pierwszego bałwana w tym roku. Przez chwilę zwierzątka zapomniały o porannej sprzeczce. A kiedy wróciły do przedszkola pod choinką stał ogromny wór z prezentami.

- Mikołaj już tutaj był! – krzyknęła Frania radośnie.

- A mówiłem, że nie ma żadnego Mikołaja... – zrzędził dalej Rysio. – Gdyby istniał naprawdę, siedziałby teraz przy choince...

Pani borsukowa podniosła do góry obie łapki:

- Ja wiecie, święty Mikołaj jest bardzo zajęty, dlatego zostawił nam podarunki, a ich rozdawanie przekazał w moje łapki. Usiądźcie grzecznie w kole, żebym mogła każdego z was obdarować świątecznym prezentem.

W przedszkolu zrobiło się cichutko, jak makiem zasiał. Każdy niecierpliwie oczekiwał na swój podarunek. Tymczasem pani borsukowa wyjmowała kolejne paczki z worka. Do każdego prezentu dołączona była karteczka z imieniem zwierzątka. Kolejno podarunki trafiały w łapki Frani, Jacusia, Inki i pozostałych przedszkolaków. Ale kiedy worek się opróżnił, okazało się, że jedno ze zwierzątek nie otrzymało prezentu. To był Rysio.

Jeżyk bardzo się zdenerwował, ale starał się tego nie okazywać.

- To i tak jedna wielka bujda! – krzyknął rozgoryczony.

- Chwileczkę, na dnie worka jest jakaś koperta...- przerwała ma pani borsukowa. Za chwilę trzymała w łapce list w czerwonej kopercie. – Do zwierzątek z „Przedszkola pod sosenką" – odczytała głośno adres na kopercie.

Drżącymi łapkami otworzyła kopertę i zaczęła głośno czytać treść listu:

„Moje kochane przedszkolaki! Przez cały rok bardzo się starałyście, wiele się nauczyłyście i poznałyście. Nawet, jeśli ktoś z was był niegrzeczny, potrafił się do tego przyznać i naprawić zło, które wyrządził. Dlatego starałem się spełnić wasze marzenia i przygotować każdemu wspaniały prezent. Każdemu oprócz Rysia, który we mnie nie wierzy. Pomyślcie, czy któreś z was chciałoby dać prezent komuś, kto twierdzi, że nie istniejecie? Chyba nie, prawda? Szkoda, Rysiu, że jesteś takim niedowiarkiem! Chciałbym was jeszcze o jedno prosić – zostańcie moimi pomocnikami. Pomyślcie o innych zwierzątkach, które jeszcze nie dostały prezentów i ofiarujcie im coś w moim imieniu. Zobaczycie, jakie to wspaniałe uczucie móc kogoś obdarować! A ja będę o was pamiętał w przyszłym roku. Wesołych świąt! Święty Mikołaj"

Wszyscy chcieli zostać pomocnikami świętego Mikołaj i to natychmiast. Nawet obrażony Rysio dał się w końcu namówić. Pani borsukowa poradziła, żeby na choinkach wokół przedszkola porozwieszać zamiast bombek kłosy zboża, szyszki, korale jarzębiny i inne smakołyki dla ptaków. Wkrótce na drzewach zaroiło się od wróbli, sikorek i innych skrzydlatych gości.

A kiedy zmarznięte, ale szczęśliwe zwierzątka wróciły do przedszkola, na stoliku Rysia czekała na niego niespodzianka – szklana kula, w której na miniaturowe choineczki opadały wolno płatki śniegu. Do prezentu dołączona była kartka: „Doskonale się spisałeś Rysiu – mój mały pomocniku. Chyba przyznasz mi teraz rację, że obdarowywanie innych to wspaniała zabawa? Święty Mikołaj"

Rysio zawstydzony pokręcił noskiem:

- Chyba będę musiał poprosić mamusię, żeby wieczorem pomogła mi napisać list do świętego Mikołaja. Muszę mu podziękować – szepnął i dodał szybciutko – ale przede wszystkim muszę go przeprosić....

Elżbieta Janikowska

HANUSIA CZEKA NA MIKOŁAJA

-Dzisiaj przeczytamy o Czerwonym Kapturku, chcesz? – powiedziała mama i usiadła obok na łóżku, wzięła do ręki ulubioną bajkę i...

-Nie mamusiu – szepnęła cicho Hania wtulając się w misia. – Dzisiaj opowiedz mi o Świętym Mikołaju...

Było już ciemno, gwiazdy migały wesoło z zimowego nieba, a księżyc spoglądał na Hanię swoją okrągłą buzią. O tak. Dzisiaj trzeba wypatrywać tego wesołego pana w czerwonym płaszczu, bo już jedzie. To dzisiaj właśnie Mikołaj rozwozi prezenty. Oczywiście grzecznym dzieciom, o tym Hania świetnie wiedziała. I starała się z całych sił pomagać dzisiaj mamie i tatusiowi. Żeby Mikołaj zobaczył jak bardzo Hania zasługuje na tą śliczną lalkę co mówiła sama i robiła siusiu i miała swój śliniaczek, nocnik, smoczek i baaaardzo dużo ubranek. No i wózek, taka lalka musi mieć swój wózek, z torbą i poduszeczką, żeby jej było wygodnie.

-Ale co ci opowiedzieć Hanusiu? – mama odgarnęła Hani włosy z czoła i odłożyła książkę na półkę, a później oparła brodę na ręku i zapatrzyła się przez okno.

-No jak on do nas jedzie i mamo...? - zasmuciła się nagle Hania. – Czy trafi tu do mnie?

-Trafi kochanie, na pewno trafi. Mikołaj jedną ręką powozi sanie, a drugą przytrzymuje ogromny wór prezentów, pilnuje żaby ani jedna, ani jedniusieńka paczuszka z niego nie wypadła. I strasznie się spieszy, bo musi zajechać do każdego grzecznego dziecka, a ma na to tylko...

Hania nie usłyszała już, ile czasu ma Mikołaj na dowiezienie prezentów, oczy jej się zamknęły a pod powiekami zaczęły wirować te wszystkie kolorowe paczki, które wiezie Mikołaj i zasnęła. W nocy coś ją jednak obudziło. Co to? Wysunęła się spod kołdry i rozejrzała wokoło. W pokoju rodziców było ciemno, tatuś nawet zgasił lampki na choince, a teraz chrapał głośno... Ale to nie taty chrapanie obudziło Hanusię... tylko co? MIKOŁAJ, może go zobaczę – szepnęła i cichutko, na paluszkach, żeby nie zbudzić nikogo, poszła do pokoju rodziców. TAK! Na talerzyku z piernikami, który zostawiły z mamą widać było tylko okruszki, a szklanka po mleku stała pusta. BYŁ! Wypił mleko, zjadł ciastka i...Hania szybciutko podeszła do choinki. Paczki w ciemności błyszczały obiecująco i były taaaakie duże.

Tylko Mikołaj znowu jej uciekł. A tak bardzo chciała go zobaczyć i podziękować i obiecać, że już zawsze będzie taka grzeczna jak dzisiaj. Bo wtedy i mamusia się uśmiecha i tatuś jest zadowolony. A i jej, Hanusi tak jakoś przyjemniej.

To nic. Za rok cię złapię Mikołaju. Zobaczysz....

Joanna Kruszewska

HANUSIA PIECZE PIERNIKI

A co to za hałas? Puk puk puk. Stuk stuk stuk. Hanusia przetarła zaspane oczy, wzięła pod pachę swojego ulubionego misia i poszła sprawdzić kto tak z samego rana hałasuje. Pewnie tatuś naprawia kran, z którego wczoraj strasznie głośno kapała woda i mama powiedziała, że nie zaśnie, dopóki tata go nie naprawi. Hanusia zajrzała do łazienki.

Ciemno. Nikogo nie ma. Więc to nie tata. Stała przez chwilę i nasłuchiwała. O, znowu. Puk puk puk. To z kuchni! Hania przycisnęła mocniej misia i podreptała w stronę tego pukania.

- Mamusiu, czemu hałasujesz tak rano?

- O Haneczko – mama wytarła ręce o fartuch i uklękła obok Hani. – Dużo pracy nas dzisiaj czeka.

- A dlaczego?

- Bo święta idą – uśmiechnęła się mama i odgarnęła Hani włosy z czoła. – Będziemy stukać, pukać, piec, zapachów będzie dzisiaj co niemiara.

Hania wyrwała się z maminego uścisku i podbiegła do okna, wspięła się wysoko, wysoko na paluszki i wyjrzała na dwór. Drzewa przysypane śniegiem, samochody stoją w rządku równiutko, o, i sąsiad idzie z psem. Hi hi, a pies ubrany w żółty sweterek. Ale świąt nigdzie nie widać.

- Jeszcze daleko te święta mamusiu – powiedziała Hanusia. – Jeszcze ich nie widać na ulicy.

- Bo te święta Haneczko to widać w kalendarzu najbardziej, wiesz – roześmiała się mama. – A teraz chodź, zjesz śniadanie i zabieramy się za pieczenie pierników.

Hania zjadała ze smakiem czekoladowe kuleczki i patrzyła jak mama wspina się na stołek i sięga do najwyższej półki. A stamtąd wyciąga wielkie pudełko. Klocki nie klocki, takie ładne kolorowe.

- Co to mamusiu?

- Foremki do ciastek, uf – mama zeszła ze stołka. – Kończ prędko, to mi pomożesz.

Foremki były we wszystkich kolorach, jakie Hania tylko widziała, a kształty? Och, czegoż tam nie było! I gwiazdki i kółeczka i misie i rakiety. Samochody, mikołaje i choinki. Hanusi aż się w głowie od tego wszystkiego zakręciło, więc mama pomogła jej wybrać foremki, a później pokazała, jak wycinać z brązowego ciasta pierniczki. Delikatnie, powoli, bo ciastka mogą się porwać. Hania usiadła potem naprzeciwko okienka od piekarnika i patrzyła jak te ich choinki i gwiazdki się pieką, jak rosną i zaczynają się robić coraz ciemniejsze, a do tego wdychała mocno piękny zapach, tak mocno że aż zakręciło ją w nosie.

Góra pierników rosła na talerzu coraz wyżej i wyżej, Hanusia już zaczęła się bać, że nic innego jeść nie będą tylko te ciastka. Wreszcie mama wytarła czoło i sapnęła głośno.

- Koniec. Jeszcze tylko później udekorujemy te ciasteczka i na święta będą jak znalazł, a i Mikołajowi się dostanie.

Hanusia wieczorem kręciła się pod kołdrą i myślała, które pierniczki wybrać dla Świętego Mikołaja. Przecież on musi mieć to co najlepsze. Przed oczami wirowały jej piernikowe samochody, kółka, kwadraty, wirowały coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie Hanusine oczka zamknęły się na dobre i dziewczynka zasnęła.

A sny miała jakie?

No jakie?

Pewnie, że słodkie...

Joanna Kruszewska

TAJEMNICA KRÓLA LASU

W dalekiej przeszłości, w świecie pełnym czarów i magii żył mały książę o imieniu Karis. Mieszkał wraz z rodzicami w zamku wybudowanym nad brzegiem morza. Trzy wieże zamczyska sięgały prawie chmur. W jednej z nich mały książę urządził swoją kryjówkę i spędzał w niej każdą wolną chwilę. Droga na sam szczyt wieży była długa i męcząca, ale widoki z jej okna zapierały dech w piersi. Z jednej strony - lazurowe wody morza spienione przez napływające z oddali fale. Z drugiej zaś - tajemniczy, ciemny i pełen zagadek las z wysokimi drzewami pokrytymi gęstymi liśćmi. Właśnie w ich kierunku najczęściej spoglądał książę wypatrując tajemnicy. Codziennie o tej samej porze, tuż po wschodzie słońca ciemny las zmieniał na kilka chwil swą poświatę na bardzo jasną zieleń, by po chwili stać się ponownie zagadkową ciemnozieloną gęstwiną. W chwili gdy drzewa stawały się jaśniejsze, wyraźnie można było usłyszeć szum drzew i trzask łamanych gałęzi. Ptaki zaczynały głośniej śpiewać, a w oddali sarny i inne leśne stworzenia zdawały się radośnie porozumiewać. Karis słyszał od swego ojca legendę o Królu lasu, który podobno raz dziennie wychodzi ze swej kryjówki, by przywitać wszystkie ptaki, zwierzęta, owady, kwiaty i drzewa. Wówczas to właśnie las zmienia się nie do poznania. Marzeniem każdego mieszkańca królestwa, również księcia Karisa, było więc poznanie tajemniczego króla. I chociaż słyszał o nim każdy, nikt go nigdy nie wiedział...

Mały książę żył jak każdy chłopiec w jego wieku, który urodził się jako dziecko potężnego władcy. Uczył się sztuki walki mieczem oraz jazdy konnej. Oczywiście musiał poznać cały alfabet i wszystkie liczby. Jednak najbardziej ze wszystkiego uwielbiał słuchać opowiadań i legend o dawnych czasach. To właśnie król, mimo wielu obowiązków codziennie po zmierzchu przenosił swoimi opowieściami małego Karisa do krainy dawnych baśni.

- Powiedz tato... – Karis przerwał ojcu opowieść o starym lesie. - Skąd właściwie wiadomo, że Król lasu istnieje naprawdę? Przecież nikt go nigdy nie widział.

- To prawda synu. Nie znam nikogo, kto kiedykolwiek rozmawiałby z nim. Jednak legendy od wieków mówią o jego istnieniu- odpowiedział król.

- Jak myślisz, jak on może wyglądać? – zastanawiał się książę.

Król popatrzył na syna, zmarszczył swe brwi i rzekł:

- Gdyby znalazł się ktoś, komu uda się spotkać Króla lasu...

- Co wtedy tato?! – niecierpliwił się chłopiec.

Król jednak nic nie odpowiedział, tylko wstał, przeczesał palcami swą długą brodę, po czym obejmując dłonią podbródek swego syna, pokiwał lekko głową i westchnął głęboko.

- Powiedz mi proszę , co by sie stało?! – dopytywał się Karis.

- Wówczas byłoby nam wszystkim łatwiej żyć mój synu. Król Lasu z pewnością nauczyłby nas wielu pożytecznych rzeczy, na przykład jak oswoić smoki, które krążą nad naszym królestwem.

- Przecież smoki nie są dla nas groźne – powiedział spokojnie książę.- Po co więc je oswajać?

- Smoki są piękne i wielkie. Gdyby zechciały być naszymi przyjaciółmi, moglibyśmy bezpiecznie i szybko przemierzyć morze i dotrzeć do tajemniczej wyspy, na której podobno rosną krzewy o kwiatach tak pięknych, że ich widok może ucieszyć nawet najsmutniejsze serca. Wówczas w naszym królestwie nikt nie musiałby więcej smucić się i płakać.

- Ja odnajdę króla lasu i poznam jego tajemnicę – powiedział bardzo poważnie Karis.

Król zamyślił się na krótką chwilę i odpowiedział :

- Dobrze Karisie. Jeśli chcesz możesz iść do lasu. To będzie twoja pierwsza książęca wyprawa. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Karis próbował wyobrazić sobie kształty płatków tajemniczej rośliny. Jego myśli o pięknym kwiecie mieszały się z wyobrażeniami o królu lasu. Wiedział, że im prędzej pozna obie tajemnice, tym szybciej smutni ludzie wokół niego zaczną się uśmiechać. Postanowił, że od następnego dnia zacznie przygotowania i wkrótce wyruszy na poszukiwania. Do pierwszej wyprawy w głąb lasu musiał się jednak książę dobrze przygotować. Karis usiadł wygodnie na swoim książęcym łożu i rozmyślał o tym, co może spotkać go w wielkim, nieznanym lesie. Był bardzo odważnym chłopcem, jednak trochę bał się i pomyślał, że dobrze byłoby, gdyby na tę wyprawę wyruszył z nim ktoś jeszcze. Postanowił, że następnego ranka, jeszcze tuż przed wschodem słońca, poszuka dobrego towarzysza drogi.

Karis obudził się zanim niebo zaczęło się rozjaśniać. Wciąż jeszcze zaspany pobiegł prosto do swojej kryjówki. Biegł w górę po krętych schodach wieży. Kiedy wreszcie dotarł na sam szczyt, podszedł do okna, z którego ujrzał cudowny widok lasu. Drzewa stały nieruchomo, a wokół panowała tylko cisza.

- Jest tam ktoś!? - krzyknął Karis z całych sił, po czym dodał cichutko. - Czy ktoś chce pójść ze mną do lasu?

- Ja. Ja chętnie z tobą pójdę – nieznajomy głos był tak cichy, że chłopiec ledwie go usłyszał. Niestety nikogo nie widząc, książę raz jeszcze powtórzył pytanie.

- Kto chciałby iść ze mną?

Tym razem nikt mu nie odpowiedział. Karis rozejrzał się dookoła mając nadzieję, że zauważy kogoś w pobliżu. Nagle drzewa zaszumiały, książę usłyszał tylko chrzęst łamanych gałęzi i zobaczył, jak las na chwilę zmienia barwę. Głos ptaków wesoło rozbrzmiewał nad jasnymi konarami drzew. Po chwili wszystko ucichło i Karis mógł podziwiać piękny wschód słońca.

- Dobrze – powiedział głośno chłopiec. – Możesz iść ze mną. I chociaż ciebie nie widzę, czuję, że możemy zostać przyjaciółmi.

Po tych słowach książę ruszył w dół po schodkach wychodząc prosto na ścieżkę prowadzącą do nieznanego lasu. Nie przypuszczał nawet jakie przygody czekają na niego w ciemnej gęstwinie drzew.

Kiedy Karis dotarł na skraj lasu, zatrzymał się. Spojrzał w górę i ujrzał wysoko na gałęziach starej sosny jedną szyszkę, która różniła się od innych kolorem. Była żółtobrązowa, bardzo jasna i lekko połyskiwała w promieniach słońca. Książę uśmiechnął się do siebie i pomyślał: „ Jest taka piękna i sprawia, że mniej boję się wejść do tego lasu”. W tym momencie szyszka oderwała się od gałązki i lekko, niczym piórko sikorki, zaczęła opadać w dół. Kiedy szyszka znalazła się tuż pod stopami chłopca, nagle zmieniła swą barwę na ciemnobrązową. I chociaż nie połyskiwała już w słońcu, i nie była już tak piękna jak wcześniej, Karis wziął ją w dłonie, po czym delikatnie schował do swojej niewielkiej torby. W tym momencie usłyszał słowa:

- Widzę, ze nie jesteś zachłanny. Pomimo tego, iż szyszka straciła swój urok wziąłeś ją. Pamiętaj, gdy dojdziesz do największego dębu w lesie, zatrzymaj się.

Karis rozejrzał się wokół, ale nikogo nie widział. Głos jednak wydawał mu się znajomy, jakby już gdzieś go słyszał. Chciał zapytać nieznajomą osobę, kim jest , ale nie zdążył, gdyż tajemnicza istota mówiła dalej.

– Odszukaj w pniu dębu dziuplę i wrzuć do niej szyszkę...

Nagle głos zamilkł i wówczas książę zapytał:

- Kim jesteś? Ukaż mi się? Chcę z tobą porozmawiać.

Karis rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie dostrzegł.

– Już wiem, skąd znam twój głos. To ciebie słyszałem na wieży. Czy to ty chciałeś iść ze mną ? Odezwij się proszę...

Ponieważ nikt nie odpowiadał, chłopiec poszedł dalej. Wędrował wciąż przed siebie rozglądając się wokół. Oprócz ptaków, owadów i leśnych zwierząt, książę nikogo więcej nie spotkał. Droga przed nim była wąska, a na jej końcu Karis dostrzegł jaśniejsze światło. Drzewa wokół niego były wysokie i gęste. Przy każdym nawet najmniejszym powiewie wiatru słychać było szelest liści. Słońce z trudem przedzierało się przez konary i delikatnie ogrzewało twarz księcia. Karis zastanawiał się , co czeka go na końcu drogi. Kiedy dotarł wreszcie na skraj ścieżki, ujrzał przed sobą jasnozieloną polankę z niezliczoną ilością kwiatów. Karis wszedł delikatnie pomiędzy nie i poczuł słodką woń. Gdy tylko wykonał kolejny krok, ze wszystkich kielichów wyfrunęły tysiące wielobarwnych motyli. Widok był tak piękny, że książę uśmiechnął się do siebie. Pomyślał o tym , jak szczęśliwy musi być władca lasu, mając tak przepiękną polankę. Pomyślał również, że widok choćby jednego z tych kwiatów ogromnie ucieszyłby jego mamę. Już miał sięgnąć, po jeden z nich, ale zawahał się na chwilę i cofnął wciągniętą dłoń.

- Trudno – powiedział głośno.- Nie mogę przecież zniszczyć tak cudownego widoku. Szkoda, że tylko ja mogę go oglądać.

- To bardzo pięknie z twojej strony – Karis znów usłyszał tajemniczy głos.

- Dlaczego? – zapytał niepewnie odwracając głowę .

- Masz dobre serce książę. Nie zerwałeś żadnego z tych pięknych kwiatów, chociaż tak bardzo chciałeś pokazać go swojej mamie – odpowiedział mu głos.

- Czy chcesz wędrować ze mną dalej ?– zapytał Karis.

- Jestem tu przecież cały czas.

- Gdzie? Nie widzę cię?

- Wiem. Ale może spróbuj mnie znaleźć. Będę na ciebie czekał. Powodzenia książę!

Gdy tajemniczy głos zamilkł, Karis zauważył, że najwyższa sosna przechyla się na łąką tworząc most. Książę bez wahania przeszedł po nim i wkrótce stopy chłopca dotknęły ziemi po drugiej stronie łąki. Wygięte drzewo powoli uniosło się ku górze, wracając do swojej dawnej pozycji. Karis rozejrzał się dookoła. Jak dotąd niewiele widział leśnych zwierząt. Owszem , słyszał o nich z opowieści taty, ale to co ujrzał przeszło jego wszelkie wyobrażenia o mieszkańcach lasu. Niedźwiedzie, sarny, zające, wilki, lisy, kuny, wiewiórki oraz wiele

gatunków ptaków patrzyły na niego w bezruchu. Oczy chłopca wędrowały kolejno po każdym z nich. Nagle drzewa lekko zaszumiały i wszystkie leśne stworzenia rozeszły się na boki, tworząc przejście dla księcia. Karis uśmiechnął się w podziękowaniu i licząc na to, że jego towarzysz drogi jest gdzieś obok niego powiedział cichutko:

- Widziałeś? Widziałeś kiedyś tyle zwierząt naraz?

- Tak, książę. To naprawdę piękny widok. – usłyszał odpowiedź.

- Kiedy cię zobaczę? – zapytał Karis.

- Kiedy przyjdzie na to czas. A teraz idź dalej. Musisz przecież znaleźć dąb z wielką dziuplą. Ja będę ciągle obok ciebie.

Karis ruszył więc w dalszą drogę. Odwrócił się, aby raz jeszcze spojrzeć na przepiękną polanę, ale za nim był już tylko gęsty las. Zwierzęta rozbiegły się po lesie, a ptaki odfrunęły do swych gniazd. Książę szedł przed siebie i czuł jak słońce grzeje coraz mocniej. Spojrzał w górę. Nad nim było błękitne niebo, które niczym jedwabista pościel zachęcało do odpoczynku. Chłopiec poszukał wygodnego miejsca w cieniu i ułożył się wygodnie na zielonym mchu. Postanowił, że odpocznie chwilkę i zaraz ruszy w dalszą drogę. Jednak ciepło słońca sprawiło, że oczy Karisa zamknęły się i już po chwili książę pogrążył się we śnie.

- Książę, obudź się. Pora wstawać!

Karis usłyszał znajomy głos i powoli uchylił powieki w nadziei, że zobaczy swego przyjaciela. Niestety nikogo nie mógł dostrzec, więc otworzył szeroko oczy i usiadł zaskoczony widokiem. Wokół niego wszystko się zmieniło. Nie było gęstych drzew i mchu. Chłopiec leżał u podnóża gór, na kocu z prawdziwej owczej wełny. Obok, na trawie stał dzban z ciepłym mlekiem i pachnące poziomki.

- To dla ciebie książę. Na pewno jesteś głodny.

- Tak, dziękuję.

Karis z apetytem zjadał kolejne porcje słodkich owoców. Gdy książę zaspokoił już głód i pragnienie rozejrzał się dookoła i spostrzegł w oddali drzewo rosnące samotnie na szczycie góry. Teraz jedyną jego myślą było dotarcie do drzewa w nadziei, że to właśnie w nim znajdzie ogromną dziuplę. Nie zastanawiając się dłuże,j ruszył w drogę. Pogoda była piękna i Karis radośnie podśpiewując zbliżał się do szczytu góry. Teraz, kiedy był już naprawdę blisko, zauważył, że drzewo, które wydawało się być niewielką rośliną, w rzeczywistości było ogromnym, starym dębem.

- Ojej! – zachwycił się chłopiec. – Jakie wielkie drzewo! Musi być bardzo stare! Ma chyba ze sto lat!

- Znacznie więcej mój przyjacielu. Jest tak stare, że nikt już nie pamięta, ile naprawdę ma lat.

Karis tak bardzo chciał wiedzieć, kim jest tajemnicza istota, która towarzyszy mu od początku podróży. Jedna nikogo nie widział. Starał się dostrzec choćby najmniejszą istotę, ale niestety. Nikogo obok niego nie było. Zrozumiał, że tak widocznie ma być i postanowił, że poczeka cierpliwie na swego przyjaciela, który obiecał mu, że kiedyś się spotkają „oko w oko". Poszedł więc dalej nie oglądając się za siebie, jakby bał się, że gdy tylko odwróci głowę do tyłu, drzewo zniknie. Już tak wiele dziwnych zjawisk spotkało go przecież podczas wyprawy. Nagle książę zobaczył coś, na co czekał od dawna. Ujrzał w pniu dębu maleńki otwór. Zdziwił

się troszkę, ponieważ spodziewał się ogromnej dziupli w tak wielkim drzewie. Podszedł bliżej i przyjrzał się jej uważnie. Była nie większa od orzecha . Karis pomyślał, że może nie jest to dziupla, o której słyszał. Obszedł więc dookoła całe drzewo. Zajęło mu to sporo czasu . Książę naliczył aż trzydzieści kroków zanim powrócił do tej samej maleńkiej dziupli. Niestety nie znalazł innej. Już miał odejść, uznając, że najwidoczniej nie jest to drzewo, którego szukał, gdy nagle zatrzymał się i dotknął ręką swojej torby. Pod palcami poczuł szyszkę, którą znalazł na skraju lasu. Dotykał jej przez materiał i wciąż patrząc na otwór w pniu drzewa, zastanawiał się w jaki sposób mógłby ją do niej wrzucić.

- Jak mam cię tam zmieścić? – zapytał Karis samego siebie wyjmując szyszkę. – No dobrze. Po prostu muszę spróbować.

Chłopiec podszedł jak najbliżej drzewa, wspiął się na palcach nóg i przybliżył złocistą szyszkę do dziupli. Wtem stało się coś niezwykłego. Dziupla stawała się coraz większa i większa, a książę stał nieruchomo. nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Otwór był już tak duży, że zmieściłby się w nim dorosły człowiek. Karis wrzucił szyszkę prosto w ciemną otchłań, która nagle pojaśniała. Niespodziewanie z liści dębu wyfrunęło mnóstwo kolorowych ptaków, które ćwierkały radośnie. Błyszczące pióra połyskiwały nad chłopcem. Kiedy ptaki odleciały, Karis usłyszał głos dobiegający z wnętrza pnia.

- Na co czekasz przyjacielu? Przecież wiesz, co dalej masz robić.

Wówczas książę sam nie wiedząc dlaczego,o wspiął się po pniu i zajrzał do środka drzewa. Wewnątrz zobaczył kręte schody, które prowadziły ku górze. Karis wszedł przez otwór i po przejściu kilku stopni okazało się, że dalej te same schody rozwidlają się w kilku kierunkach, tak jakby prowadziły do konarów dębu.

- Dokąd mam teraz iść? – zapytał głośno mając nadzieję, że usłyszy odpowiedź.

- Wejdź na najszersze ze stopni. Idź powoli. Niczego się nie obawiaj. Wkrótce znajdziesz to czego szukasz.

Głos mówił bardzo spokojnie, co dodawało tylko chłopcu odwagi. Poszukał wzrokiem najszerszych schodów i wszedł na pierwszy stopień. Usłyszał tylko jakiś dźwięk, który bardzo przypominał mu dźwięk harfy. Z każdym kolejnym krokiem dźwięki zmieniały się tworząc najpiękniejszą melodię, jaką dotąd słyszał. Zasłuchany w muzykę nie spostrzegł nawet, kiedy dotarł na szczyt krętych schodów. Gdy muzyka zamilkła, spojrzał przed siebie i zauważył drzwi. Oczywiście nie wyglądały jak każde inne drzwi, które widział do tej pory. Te przede wszystkim były okrągłe. Wyglądały niczym plecionka z gałązek. Gdy książę dotknął ręką wystającej gałki, nagle z drzwi zaczęły wyrastać maleńkie łodyżki, które natychmiast zakwitały kolorowymi kwiatami. Książę poczuł wokół zapach tak piękny, że na chwilę przymknął oczy. Gdy otworzył powieki, drzwi były już szeroko otwarte.

Po krótkiej chwili Karis zaczął dostrzegać kolejne rzeczy, które wprawiały go w zachwyt. Podłoga była usłana najmiększym mchem po jakim kiedykolwiek chodził. Chłopiec mimowolnie zdjął buty, aby móc poczuć jego przyjemną miękkość. Pod sufitem latały kolorowe maleńkie ptaszki, które wyglądały jak baletnice w najpiękniejszym tańcu. Pośrodku sali rósł czerwony kwiat, którego płatki zwisały w dół niczym płaszcz jego ojca, króla.

- Witaj!- Karis usłyszał znajomy głos.

- Znowu cię słyszę, ale nie widzę. Gdzie jesteś? – zapytał książę , ale nie usłyszał odpowiedzi na swoje pytanie. Znajomy głos mówił jednak do niego dalej.

- Znalazłeś drzewo, nie zwątpiłeś w zadanie jakie miałeś wykonać, chociaż wydawało ci się ono niemożliwe. Zasłużyłeś na spotkanie z władcą lasu. Czy jesteś na nie gotowy?

Karis stał nieruchomo. Od dawna czekał na spotkanie z królem lasu, ale zdziwiony był trochę miejscem, w jakim miałby go zobaczyć. Rozglądał się dookoła wypatrując potężnego władcy, gdy znów usłyszał znajomy głos.

- Witaj więc dzielny książę w moich progach!

Chłopiec nadal nie mógł zrozumieć, w jaki sposób będzie mógł rozmawiać z królem. Może król jest na zewnątrz drzewa i książę nie może go widzieć? Przecież to tylko drzewo. Może rzeczywiście trochę większe od innych , z mnóstwem krętych schodów, ale to wciąż tylko drzewo!

- Witaj królu! – odpowiedział grzecznie Karis, wciąż nie rozumiejąc, gdzie właściwie jest władca lasu. – Czy możemy porozmawiać królu? To bardzo ważne– poprosił książę.

- Oczywiście. Przecież właśnie po to tu przybyłeś.

- Czy ty królu szedłeś za mną przez cały czas mojej wędrówki? – zapytał Karis.

- Nie, Karisie – odpowiedział władca. - Ja byłem cały czas przy tobie.

- Ale ja nigdy nie mogłem cię dostrzec- powiedział książę. – Jesteś niewidzialny?

- Nie! – zaśmiał się król. - Jestem taki jak ty. Mam głowę , nogi, ręce i całą resztę. Tylko wszystko jest trochę mniejsze...

- Trochę mniejsze?! – zdziwił się Karis.

- No, może trochę bardziej mniejsze. Właściwie bardzo, bardzo mniejsze! – śmiał się król. – Spójrz na kwiat. Znajdziesz mnie wewnątrz.

Chłopiec bardzo zdziwiony podszedł bliżej, ale nie zauważył w środku żadnej istoty.

- Nadal cię nie widzę, królu.

- Przecież jestem. Tu, na jednym z pręcików.

Książę schylił się, aby lepiej widzieć wnętrze kwiatu i wówczas ujrzał maleńką postać stojącą na czubku żółtego pręcika.

- To niesamowite! – krzyknął głośno Karis. To naprawdę ty królu! – I zaraz szybciutko pokłonił się potężnemu władcy lasu. Król lasu uczynił to samo i zapytał księcia.

- Czy jesteś zdziwiony moim widokiem?

- Oczywiście! Przecież ja wyobrażałem sobie ciebie jako ogromnego człowieka, który jest tak duży, że może przeskakiwać przez najwyższe góry w lesie. Tymczasem jesteś nie większy od mrówki. – Karis był bardzo zdziwiony wyglądem króla lasu. – Właściwie nie rozumiem, jak ja ciebie słyszę, skoro jesteś taki niewielki.

- Wielkość nie ma znaczenia. Można być potężnym władcą będąc wielkości zaledwie mrówki. I można słyszeć najcichsze z szeptów, jeśli słucha się sercem. Ty książę słuchasz swego serca. Pragniesz dobra nie dla siebie, ale dla innych. Tylko ty Karisie chciałeś mnie ujrzeć

nie dla siebie, ale po to by pomóc innym. Poświęciłeś się wyruszając samotnie w głąb lasu, którego wszyscy się boją. Co cię do mnie sprowadza Karisie?

- Musiałem się z tobą zobaczyć królu – wyszeptał nieśmiało Karis. - W królestwie mego ojca wszyscy ludzie są coraz bardziej smutni. Wiem, że można nam pomóc, ale potrzebuję twojej pomocy.

Król lasu zamyślił się. Milczał tak przez dłuższa chwilę. Karisowi wydawało się nawet, że król zasnął i bał się odezwać, aby go nie zbudzić. Pomimo że król był maleńkim człowieczkiem, książę wiedział, jak wielką moc on posiada. Gdy król wciąż milczał chłopiec zastanawiał się, skąd właściwe codziennie przed świtem słychać z głębi lasu głośne trzaski łamanych gałęzi, skoro to nie król po nich spaceruje? Pomyślał, że zapyta o to króla później, ale dopiero wtedy, gdy on zechce z nim rozmawiać. Król jednak wciąż milczał. I chociaż jego oczy były na wpół przymknięte, Karis miał wrażenie, że władca lasu wciąż go obserwuje. Po jakimś czasie, król otworzył szeroko oczy, uśmiechnął się do księcia i powiedział:

- Chodź ze mną, chłopcze. Coś ci pokażę.

Karis poszedł za królem, który wyprowadził go z sali tronowej na taras. Widok z tarasu był piękny. Ponad wysokimi wierzchołkami drzew widać było w oddali ogromne góry, porośnięte żółtymi krzewami, między którymi spływały przejrzyste potoki źródlanej wody. Szum odbijającej się wody docierał do uszu chłopca, a nawet zdawało się mu, że czuje na twarzy zimne krople.

- Spójrz tam! – rozkazał król, wskazując na najwyższą z gór.- Tam na tym szczycie mieszka jeden ze smoków, który przybył tu ze swojej wyspy. Mieszka tu od stuleci. To on każdego ranka, tuż przed świtem spaceruje po lesie. Wówczas porusza liśćmi drzew zmieniając barwę lasu. Dzięki niemu jesteśmy bezpieczni i szczęśliwi. To jedyny smok, który nie chciał mieszkać na wyspie smoków.

Król spojrzał na księcia i powiedział.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Tak , bardzo! Jeśli oczywiście mogę...

- Możesz Karisie, bo wiem, że zachowasz to w tajemnicy, tak jak całe moje królestwo...Jutro dowiesz się prawdy. O mnie, o smoku i ...o tajemniczym krzewie z Wyspy Smoków.

Następnego dnia, tuż przed świtem, Karis obudził się i poszedł na spotkanie z królem. Władca lasu już na niego czekał. Książę ukłonił się najpiękniej jak potrafił witając się ze swym przyjacielem. Król również pokłonił się młodemu księciu i wskazał ręką na kwiat, który niczym dzwoneczek zwisał tuż nad ziemią.

- Proszę – powiedział król podając Karisowi maleńkie źdźbło trawy. – Jeśli chcesz, dziś ty możesz wezwać smoka.

Karis nie mógł uwierzyć, że to właśnie on będzie mógł przywołać tak potężne zwierzę. I chociaż mogłoby wydawać się niemożliwe, aby smok mógł usłyszeć dźwięk tak drobnej rośliny, książę bez wahania uderzył w kielich kwiatka. Już po chwili nad ich głowami ukazał się smok. Był wielki i piękny. Jego łuski połyskiwały w bladym jeszcze świcie. Potężne zwierzę z niezwykłą delikatnością przysiadło na trawie i w posłusznym ukłonie schyliło głowę. Król wdzięczny zwierzęciu za pomoc wspiął się na jego grzbiet i przywołał księcia ruchem

dłoni. Karis bez lęku podążył za swym przyjacielem. Już po chwili cała trójka wędrowała dostojnie przez las. Przy wschodzącym słońcu, z każdym ich krokiem, wszystkie drzewa w lesie szumiały zmieniając swą barwę. I wówczas książę usłyszał najpiękniejszy śpiew ptaków jaki kiedykolwiek docierał do jego uszu. Chłopiec zachwycony dźwiękami lasu przymknął oczy i wsłuchiwał się w mowę zwierząt . Słyszał radosne porykiwania młodych jeleni, głośne świsty wiewiórek, ciche pohukiwania sowy, a nawet trzepotanie setki wielobarwnych motyli.

- Królu, czy to wszystko dla ciebie? – zapytał cichutko Karis otwierając oczy.

- Oczywiście, że nie. Las wita kolejny dzień, a ja wraz z nim – odpowiedział dostojnie król i po chwili dodał- posłuchaj szmeru strumieni i szumu wiatru wśród gór.

Chłopiec uniósł wysoko głowę i poczuł wiatr we włosach, a potem usłyszał szmer źródlanej wody, która spływała z kilku górskich potoków. Następnie Karis wtulił się w przyjemnie ciepłe ciało smoka i usłyszał bicie jego ogromnego serca. Książę nigdy wcześniej nie słyszał czegoś podobnego. Serce zwierzęcia biło tak, jak dźwięk wykuwanego rycerskiego miecza z najszlachetniejszej stali.

Chwilę później, gdy słońce wyszło już z za horyzontu, smok zatrzymał się i gdy tylko król wraz z księciem opuścili jego grzbiet, odfrunął w stronę najwyższego szczytu. Król spojrzał za odlatującym zwierzęciem i powiedział:

- To on Karisie, nie kwiat, niesie radość. On – przyjaciel. Przyjaźń to największa radość.

- Mój ojciec opowiadał mi o wyspie, na której żyją smoki, i na której rośnie krzew z kwiatami tak pięknymi, że rozweselają najsmutniejszych ludzi. Czy ta wyspa naprawdę istnieje królu? – zapytał Karis.

- Tak, istnieje. To Smocza Wyspa. Mieszkają na niej setki zwierząt i są bardzo szczęśliwe.

- Dlaczego więc nad naszym królestwem latają codziennie smoki? –zapytał Karis. – Czy można je oswoić? Czy zabiorą mnie na wyspę, abym mógł znaleźć tajemniczy kwiat?

- Smoki nie chcą być oswojone. One kochają wolność, przestrzeń i bryzę morską. Nie będą chciały służyć ludziom – odpowiedział spokojnie król lasu. – Krążą nad twoim królestwem, bo chcą przekazać wam pewną wiadomość. Wiadomość płynącą z głębi ich serc. To tajemnica przyjaźni.

- Jednak ty królu, masz swojego smoka. Oswoiłeś go – zauważył chłopiec.

- Nie mój przyjacielu. To on mnie oswoił. To smok chciał abym ja go pokochał.

Karis nic już nie rozumiał. Myślał, że to będzie prosta sprawa- odnajdzie króla lasu, oswoi smoka, pofrunie z nim na wyspę, zerwie kwiat, przyniesie go ojcu i wszyscy będą żyć w szczęściu i radości. Tymczasem okazało się, że król jest nie większy od mrówki, smoków nie da się oswoić, a tajemniczy kwiat w ogóle nie istnieje. Książę zawiedziony troszkę rozwojem wydarzeń przysiadł pod jałowcem i westchnął głęboko. Pomyślał jednak, że przeszedł długą drogę i pokonał już wiele wątpliwości, więc i tym razem nie może tak łatwo się poddać. Zrozumiał, że król na pewno wie jak zwyciężyć smutek, który ogarniał księstwo jego ojca. Wstał, i wiedząc, że król na pewno jest tuż obok niego ruszył w kierunku polanki.

- Opowiedz mi królu o smoczej wyspie- poprosił Karis.

- Wyspa, którą zamieszkują smoki, jest bardzo piękna –zaczął swą opowieść król. – Trawa jest tam tak gęsta, że smoki śpiąc w niej są zupełnie niewidoczne. Pomiędzy licznymi pagórkami rosną krzewy , których kwiaty rozkwitają, gdy tylko wzejdzie słońce. Po zachodzie zamykają swe kielichy, by następnego ranka znów wydać z siebie słodki zapach. Na środku wyspy jest niewielkie jeziorko, wokół którego wieczorem gromadzą się wszyscy mieszkańcy i odpoczywają. Oprócz smoków wyspę zamieszkują jeszcze błękitne ważki. Ja, mój drogi przyjacielu wiem to wszystko, ponieważ urodziłem się na tej wyspie.

- To niesamowite! – zawołał zachwycony Karis. – Ale jak znalazłeś się w tym lesie?

- Pewnego dnia po prostu jeden z kwiatów rozchylił swe delikatne, czerwone płatki, a ja stałem w samym jego środku –opowiadał dalej król. – Byłem szczęśliwy widząc dookoła mnie tyle cudów, ale niestety czułem się bardzo samotny. Nie wiedziałem, że pewien smok przychodzi codziennie do mnie i z ukrycia próbuje mnie poznać. Po jakimś czasie zauważyłem go wreszcie, ale strasznie bałem sie jego ogromnych skrzydeł. Smok czuł mój strach, więc codziennie, cierpliwie zbliżał sie do mnie krok po kroku, aż wreszcie zaufałem mu i tak zrodziła się nasza przyjaźń. Smok tak bardzo mnie kochał, że chciał abym poznał jeszcze inny świat, ten sam, który on codziennie mógł oglądać podczas swoich wędrówek. Postanowił przenieść ,mnie poza wyspę, do lasu, do zwierząt drzew i gór. Kiedy na jego grzbiecie przebyłem ogromne morze i znalazłem się w lesie, rzeczywiście poczułem się szczęśliwszy. Mogłem rozmawiać ze zwierzętami i owadami. Mogłem podziwiać leśne strumienie i słuchać wiatru, który bawił się ze mną w berka. Smok wrócił oczywiście do swojej rodziny, ale tęsknił za mną tak samo bardzo jak ja za nim. Pewnego dnia odwiedził mnie, a ja poprosiłem, aby ze mną został. Od tej pory mieszkamy tu w tym lesie razem dbając o spokój i porządek. Codziennie przed wschodem słońca wyruszamy razem na spacer po lesie wypatrując chorych zwierząt i drzew. To wszystko. To cała moja tajemnica. Mówię ci o tym , bo pragnę, aby również w twoim królestwie zapanowała radość i szczęście. Pamiętaj jednak Karisie, że nie możesz nikomu wyjawić prawdy o mnie, smoku i lesie.

Książę uważnie słuchał opowieści króla i zrozumiał, jak bardzo mu zaufał. Postanowił, że wszystko co usłyszał zostanie jego największą tajemnicą.

- Dziękuję ci królu. Jesteś mądry i bardzo wielki, choć prawie nie można cię dostrzec. Muszę już wracać do mego ojca, ale jeszcze kiedyś cię odwiedzę. Ciebie i smoka. Jeśli będziesz mógł odwiedź mnie również, a opowiem ci o tym , czy udało mi się wnieść odrobinę radości do mego królestwa. Żegnaj i do zobaczenia!

Karis ukłonił się nisko i ruszył w powrotną drogę do zamku. Tym razem ścieżka, po której szedł była prosta i wkrótce książę dotarł na skraj lasu. Gdy stanął przy wielkim świerku, spojrzał w górę i dostrzegł na samym szczycie drzewa złocistą szyszkę.

- Piękna – pomyślał. – Gdy moja matka mogła ją ujrzeć, z pewnością byłaby szczęśliwa.

Wtedy to właśnie szyszka spadła wprost pod nogi chłopca.

- Nie należysz do mnie– powiedział Karis i już miał odejść gdy usłyszał znajomy głos.

- Proszę, weź ją. To prezent. Mam nadzieję, że sprawi radość twojej mamie.

Karis podniósł podarunek i schował głęboko w swojej torbie. Wychodząc z lasu usłyszał jeszcze trzepot smoczych skrzydeł.

- Karisie! Gdzie jesteś? – z głębi ogrodu słychać było wołanie królowej.

- Już idę mamo! – odpowiedział książę i pobiegł w kierunku fontanny skąd dochodził głos jego matki.

Chłopiec biegł do mamy tak szybko, jak tylko potrafił. Bardzo stęsknił się za nią i jak najprędzej chciał podarować jej prezent. Nie wiedział tylko, jak ma wytłumaczyć swoją kilkudniową nieobecność w królestwie. Nie mógł przecież opowiedzieć królowej o wszystkim, co spotkało go w lesie. Królowa wiedziała, że każdy książę musi kiedyś samotnie wyruszyć na wyprawę, ale miało go przecież nie być tylko jeden dzień.

- Gdzie byłeś tak długo Karisie? – zapytała królowa. – Miałeś wrócić na kolację, a tymczasem za chwilę wzejdzie już księżyc.

- Ale... jak to... Jak to możliwe? – Jąkał się książę.

Nic z tego nie rozumiał. Czyżby w tajemniczym lesie czas płynął inaczej? Czy naprawdę nie było go w królestwie tylko jeden dzień?

I wtedy Karis poznał jeszcze jedną tajemnicę lasu - czas dla niego i jego mieszkańców był zupełnie inny. Jeden dzień w królestwie to trzy dni w lesie. Nie zastanawiając się dłużej nad upływem czasu książę podał mamie szyszkę, którą znalazł na skraju lasu. Królowa rozchyliła dłoń, na której Karis położył podarunek. Królowa spojrzała na szyszkę i jej oczy rozbłysły niczym złoto, a na twarzy pojawił się uśmiech.

- To jest najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam – powiedziała królowa. – Sprawiłeś mi synku ogromną radość. Jesteś moim największym szczęściem!

Tego wieczora książę nie mógł jeszcze iść spać. Musiał porozmawiać ze swoim ojcem. Król już na niego czekał i z niecierpliwością spojrzał na wchodzącego Karisa.

- Nie martw się ojcze. Wiem jak ocalić nasze królestwo. Musisz mi zaufać, ponieważ nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Obiecałem mojemu przyjacielowi dochować tajemnicy. Król patrzył na swego syna władczym wzrokiem, ale rozumiał, że nie może żądać od niego złamania danego słowa.

- Powiedz więc synu, co możemy zrobić?

Karis opowiedział ojcu o smokach żyjących daleko, i o tych które krążą nad królestwem. O prawdzie, która mówi o przyjaźni i tym, że aby być szczęśliwym wystarczy być dobrym. O tym, że to nie tajemnicze kwiaty z krzewu niosą radość, tylko ludzka dobroć.

- Jeśli wszyscy ludzie w naszym królestwie będą dla siebie dobrzy i życzliwi, jeśli będą sobie pomagać i wspierać się w trudnych chwilach, smoki odlecą. Jeśli tylko wszyscy zrozumieją, jak wielką moc ma przyjaźń smoki będą szczęśliwe i będą mogły wrócić na swoją wyspę.

Kiedy Karis skończył mówić król wstał, położył mu rękę na ramieniu i szepnął do ucha:

- Jesteś bardzo mądry mój synu. Będziesz kiedyś wspaniałym władcą. Teraz jesteś moim najwspanialszym synem i przyjacielem. Dzięki tobie wiem, co muszę zrobić , aby w naszym królestwie zapanowała radość. Teraz idź spać Karisie, a jutro wszystko się zmieni...

Następnego ranka, tuż przed świtem król wyszedł do zebranych przed tajemniczym lasem ludzi i powiedział:

- Już za chwilę wszyscy zobaczycie jak las zmienia swą barwę. Zaraz potem słońce wzejdzie nad górami i rozbłyśnie nad całym naszym królestwem, i jeśli tylko poczujecie , że możecie podarować innym odrobinę radości, podzielić się z kimś nadzieją, nasze królestwo zmieni się. Dzięki wam będzie takie, o jakim od dawna wszyscy marzymy.

Gdy król skończył mówić, słońce rozjaśniło niebo, a smocze łuski rozbłysnęły tysiącem barw. Potężne zwierzęta krążyły nad głowami ludzi, którzy zrozumieli nagle, jak bardzo potrzebują siebie nawzajem. Ktoś kogoś poczęstował kawałkiem przyniesionego ciasta. Ktoś inny uśmiechnął się do stojącej obok osoby, a gdzieś daleko w tłumie jakiś mężczyzna poklepał po ramieniu strapionego wędrowca. Małe dzieci stojące w gromadce przestały nagle wyrywać sobie z rąk znaleziony kawałek kory. I wówczas stało się coś, o czy mówił król lasu. Wszystkie smoki wydały z głębi swych gardeł pisk i odleciały w kierunku morza.

- Hura!!! Udało się!!! – krzyknął Karis i dodał po cichu– Szkoda, że nie ma cię tu ze mną, królu lasu...

- Jestem – usłyszał w odpowiedzi książę. Jestem cały czas przy tobie, przyjacielu....

Monika Joanna Litwin

TRUDNE SŁOWA. OPOWIADANIA

1. EMPATIA, CZYLI WCZUWANIE SIĘ.

Pewnego dnia, kiedy deszcz padał już od samego rana dziesięcioletni chłopiec o imieniu Wojtek wrócił ze szkoły bardzo zdenerwowany. Jak zwykle zdjął kurtkę i buty, podszedł do mamy i powiedział:

- Niektórzy moi koledzy wcale nie nadają się na kolegów.

Mama chłopca właśnie przygotowywała obiad. Spojrzała na synka, który pociągnął nosem wdychając przyjemne zapachy. Stawiając na stole talerz gorącej pomidorówki zapytała:

- Czy coś się stało?- mama Wojtka wiedziała, że koledzy jej syna potrafią czasami dokuczać innym dzieciom. Nigdy jednak Wojtek nie był taki wzburzony jak dziś.

- Pamiętasz- zaczął chłopiec.- U nas w klasie jest nowy kolega, Michał.

-Tak, mówiłeś mi o tym niedawno!- przypomniała sobie mama.- I jak czuje sie w nowej szkole?

- Niewielu ma jeszcze znajomych. Trochę mu smutno na przerwach, bo na razie to chyba tylko ja z nim rozmawiam- opowiadał Wojtek.- Szkoda mi go, bo wiem jak to jest, gdy stoi się samemu na korytarzu. Jak w szkole nie ma Przemka albo Roberta, to też tak stoję.

- Tak, wiem . Ale ty masz poza nimi dużo koleżanek, a twój nowy kolega jeszcze nie- mama Wojtka wiedziała, co czuje jej syn.- To ładnie z twojej strony, że martwisz się o kolegę i go rozumiesz. To się nazywa empatia.

- Co to znaczy empatia?- chłopiec spojrzał zaciekawiony na mamę.

-To znaczy, że potrafisz wczuć się w drugą osobę, w to co czuje i myśli. W to, co przeżywa- wyjaśniła mama.- To bardzo trudne, i niewielu ludzi to potrafi. Trzeba być bardzo wrażliwym człowiekiem. Trzeba mieć dobre serce i mądrą głowę.

- Myślisz, że mogę mu jakoś pomóc?- zapytał chłopiec.

- Oczywiście. Zastanów się tylko, w jaki sposób chcesz pomóc koledze. Spróbuj wczuć się w jego sytuację, pomyśl o tym, co się dziś wydarzyło, a odpowiedź przyjdzie sama- mama starała się pomóc synkowi.- Co właściwie dziś tak cię zdenerwowało?

Wojtek wiedział, że swojej mamie może powiedzieć wszystko. Zawsze go rozumiała więc wspólnie mogli rozwiązać każdy problem. Bez wahania zatem opowiedział historię, która wydarzyła się tego dnia:

- Opowiadałem ci już wcześniej, jak chłopcy z naszej klasy wyśmiewają się z Michała. Potrącają go i robią różne wcale nieśmieszne dowcipy. Wiesz, chowają mu buty, zrzucają kurtkę z wieszaka, przezywają. Nigdy nie chcą mu pożyczyć ołówka ani być z nim w grupie, gdy jest na lekcji praca zespołowa. Ale dziś Michał nie wytrzymał, no i wszyscy się pobili.

- Czy nic się nikomu nie stało?- zaniepokoiła się mama.

- Nie. Trochę się tylko pobili, ale Michał był jeden, a ich trzech. Pan od matematyki ich rozdzielił i zaprowadził do wychowawcy.

- Więc na pewno wychowawca ukarze chłopców- stwierdziła mama.

- Pewnie tak, ale Michał był najmniej winny. To niesprawiedliwe!- krzyknął Wojtek.

- Zapewne masz rację kochanie, ale jednak bili się wszyscy- mama próbowała wyjaśnić synkowi, że nikt nie powinien się bić.- Pomyśl, jak ty możesz pomóc koledze.

Wojtek usiadł na kanapie i zamyślił się. Za oknem wciąż padał deszcz. Pomyślał, że Michał siedzi teraz na pewno w domu i jest mu bardzo smutno. Starał się wyobrazić sobie, jak musi być mu przykro. Wojtek sam wiele razy czuł się bardzo samotny. Brakowało mu kolegi, który zadzwoniłby do niego, albo przyjechał pobawić się z nim. Wstał z kanapy i podszedł do okna. Na niebie były tylko czarne i mokre chmury, wyglądające niczym błoto. Wyglądało to tak, jakby w niebie odbił się cały mokry i szary świat. Wtedy Wojtek pomyślał: „Brakuje słońca. Wystarczyłby jeden mały promyk.”. Kiedy tak stał z nosem przyklejonym do szyby, po paru chwilach deszcz zaczął padać już coraz drobniejszy i mniejszy, a po chwili przestał padać zupełnie. Wiatr powoli rozwiewał ciemne chmury na boki, a zza jaśniejszych obłoków nieśmiało wyjrzały pierwsze promienie słońca, które rozświetliły liście na drzewach i otworzyły delikatnie łebki kwiatów. „Świat znów poweselał”- pomyślał Wojtuś i powiedział głośno:

- Czas rozweselić Michała!

- Jak chcesz to zrobić?- zapytała zaciekawiona mama.

- Najpierw do niego zadzwonię i zapytam, jak się czuje, a potem zaproszę go do siebie. Mogę?- chłopiec spojrzał na mamę, która kiwnęła twierdząco głową.

- Pogadamy sobie o różnych sprawach - dodał jeszcze Wojtek, wybierając numer kolegi.

Długo jeszcze ze sobą rozmawiali, śmiejąc się. Słońce zaglądało przez okno, jakby chciało usłyszeć o czym rozmawiają chłopcy.

- Michał przyjdzie do nas jutro po lekcjach!- zawołał odkładając telefon.- Bardzo się ucieszył, że do niego zadzwoniłem.

- Ja też się cieszę, że mam tak mądrego synka- odpowiedziała mama.

Chłopiec podszedł do balkonu otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Odwrócił się i spojrzał na mamę mówiąc coś co rozbawiło ją do łez:

- Wiesz mamo, słońce to dopiero wie, co znaczy empatia! Zrozumiało, co potrzebne jest mi i Michałowi!

- Mianowicie?- zapytała mama.

- Radość oczywiście!- odpowiedział Wojtuś.

2. ALTERNATYWA, CZYLI WYBÓR.

Właśnie kończył się długi tydzień nauki. Agatka w wesołych podskokach weszła do pokoju, w którym jej tata pracował przy komputerze. Podeszła do niego, przytuliła się i szepnęła mu do ucha:

-Wiesz tatusiu, już mam wolne. Całe dwa dni. Co ty na to?

Tata spojrzał z uśmiechem na swoją córeczkę. Wziął Agatkę na kolana i zakręcił się dookoła na fotelu. Oczy małej dziewczynki zabłyszczały radośnie.

- Co ja na to?- tata powtórzył słowa Agatki.- Mmmy...Pomyślmy...Może polecisz na księżyc?- zażartował śmiejąc się.

- Oj tato! Ja pytam poważnie. Bardzo poważnie- dziewczynka zmarszczyła lekko czoło.

- Aha! To zupełnie wszystko zmienia! Rozumiem, że dwa wolne dni to dla ciebie ważna sprawa- powiedział tata.

- Tak. Dokładnie. Powiedz mi więc, co mam robić przez te dwa wolne dni?- Agatka była naprawdę bardzo poważna. -Pani w szkole powiedziała, żeby zaplanować sobie dzień. Wiesz, pora dnia, godziny, no i oczywiście zajęcia- tłumaczyła dalej.

- W takim razie powiedz mi najpierw, na co miałabyś ochotę? To znaczy czym chciałabyś się na przykład jutro zająć?- zapytał tata.

Agatka zeskoczyła z kolan swego taty i usiadła na drugim fotelu. Założyła nogę na nogę i po krótkim namyśle z bardzo poważną miną powiedziała:

- Wstanę o siódmej...- zaczęła, ale nagle tata jej przerwał:

- Zaraz, zaraz kochanie. Jutro jest sobota. Zapomniałaś?

- Nie- odpowiedziała zdziwiona dziewczynka nie rozumiejąc zupełnie, o co tacie chodzi.

- Więc?- tatuś wziął córeczkę za ręce.

- Więc co?- Agatka naprawdę nie rozumiała taty.

- Tatuś chce sobie pospać!- zawołał radośnie tata.

Dziewczynka złapała się za głowę obiema rękoma, pokiwała nią lekko, westchnęła, po czym powiedziała poważnie:

- Tato! Przecież ty możesz sobie spać! To ja mam wstać o siódmej.

- A twoje śniadanko?- zapytał tata niepewnie.

- Zjem coś sobie, Nie martw się. Możesz sobie pospać. Jestem już dużą dziewczynką. Popatrz!- Agatka wyprostowała się zeskakując na podłogę.

- Faktycznie!- potwierdził tata- Nawet nie zauważyłem, kiedy urosłaś. Co więc będziesz robić, kiedy już wstaniesz bladym świtem?

- Jak już wstanę, to coś zjem. Potem porysuję, a jak ty już wstaniesz, to zadzwonię do koleżanki, na przykład... do... - zastanawiała się Agatka.- Do... Może do Justynki!- wymyśliła wreszcie.- Justynka przyjdzie do mnie i cały dzień będziemy się bawić lalkami na tarasie. Zrobimy domek, poustawiamy mebelki, może urządzimy ślub...- planowała dziewczynka.- Po południu zrobimy sobie podwieczorek i pobawimy się w kawiarnię!

- Plany są naprawdę świetne, ale może powinnaś mieć przygotowaną jakaś alternatywę?- tata podrapał się w głowę.

- Jasne! Bardzo fajnie! Gdzie ją położyłeś?- zapytała Agatka wychodząc z pokoju.

- Ty ją masz córeczko!- zawołał za nią tata.

- Ja?- dziewczynka zatrzymała się w progu.- Gdzie?

- W główce kochanie. Alternatywa to słowo. Oznacza wybór. Ten wybór to na przykład pomysł. Twój pomysł. Z twojej główki. Rozumiesz?

- Nie bardzo- powiedziała dziewczynka.

- Wytłumaczę ci. Alternatywa to możliwość wyboru. Oznacza, że możesz wybrać. Na przykład wiesz, że możesz gdzieś pojechać na wakacje. Planujesz wyjazd nad morze, lecz jeśli będzie padał deszcz, to masz inną alternatywę. Po prostu pojedziesz w góry - wyjaśniał tata.- Albo inny przykład. Dziś po obiedzie musisz zjeść owoc. Masz wybór: jabłko lub gruszka. Czy już rozumiesz?

- Chyba tak. Ale po co mi jutro alternatywa? Przecież mi podoba się pomysł na sobotę- zapytała zdziwiona Agatka. - Ja również uważam, że jest bardzo ciekawy, ale tak naprawdę nie wiesz, jakie plany na jutro ma twoja koleżanka. Nawet jeśli zgodzi się spędzić z tobą ten dzień, nie wiadomo czy nie zdarzy się coś, co zepsuje twoje plany. Może na przykład spaść deszcz lub wiać bardzo silny wiatr.

- Aha! Rozumiem!- Agatka aż podskoczyła.- Wobec tego coś wymyślę. Jakąś... alternatywę- dodała po namyśle.

Tata przeciągnął się na fotelu zadowolony, że udało mu się wytłumaczyć córeczce trudne słowo, a ona tylko podeszła do niego i uśmiechając się czule zapytała:

- A ty tato? Masz na jutro jakąś alternatywę?

- Ja?- zapytał zdziwiony tata.- Po co?

- No wiesz... Gdybym jednak obudziła cię tym bladym świtem...- odpowiedziała słodko Agatka i wybiegła z pokoju, zostawiając tatę z szeroko otwartą buzią ze zdziwienia.

3. DYSKRECJA, CZYLI DOCHOWANIE TAJEMNICY.

Nadszedł pierwszy, wyczekany dzień wakacji. Słońce radośnie zaglądało do pokoju dwóch chłopców: Karola i Michała. Chłopcy mieszkali w jednym pokoju od zawsze, to znaczy od dnia swoich urodzin. Bliźniaki przyszły na świat niemal jednocześnie. Czas jaki ich dzielił w chwili narodzin to niecałe trzy minuty. Rozmawiali ze sobą codziennie, śmiali się i psocili zawsze razem. Tak było przez całe siedem lat. Wszystko o sobie wiedzieli. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. Zawsze potrafili dochować swoich sekretów. Tego dnia mieli dowiedzieć się, jak nazywa się dochowanie tajemnicy.

- Chłopcy! Śniadanie! Prześpicie całe wakacje!- z kuchni dochodził ciepły głos mamy.

Michał leniwie przeciągnął się w łóżku. Spojrzał na brata, który otworzył właśnie jedno oko. Chłopcy popatrzyli na siebie i w jednej chwili obaj wyskoczyli z pościeli.

- Kto pierwszy na dole?- zawołał Karol i ruszył w kierunku kuchni.

- Pierwszy!- zawołali jednocześnie, siadając przy stole.

Mama uśmiechnęła się czule i powiedziała:

- Wychodzę do pracy kochani. Za pół godziny przyjedzie babcia. Bawcie się dobrze. Pa!

Karol i Michał zjedli śniadanie i wybiegli do ogrodu. Chwilę grali w piłkę, a później w lotki. Wkrótce przyszła babcia. Karol i Michał bardzo kochali swoją babcię. Pamiętali, jak kiedyś, gdy byli małymi chłopcami, opowiadała im niesamowite historie, które sama wymyślała. Teraz bardzo lubili słuchać prawdziwych historii, które naprawdę wydarzyły się w życiu ich babci.

- Babciu! Jak dobrze, że już jesteś!- przywitał babcię Karol.

- Może zrobię ci wody z sokiem wiśniowym, tak jak lubisz?- zapytał Michał.

- Bardzo chętnie się napiję. Straszny dziś upał- odpowiedziała babcia siadając na ogrodowej huśtawce.- Nawet nie wyobrażacie sobie, co mnie wczoraj spotkało chłopcy...- dodała uśmiechając się do swoich ukochanych bliźniaków.

Chłopcy z zaciekawieniem spojrzeli na babcię, wiedząc, że to co opowie, z pewnością będzie niesamowite. Babcia zamyśliła się na chwilę , a na jej czole wyraźniej zarysowały się zmarszczki. Zawsze tak było, gdy babcia nad czymś rozmyślała. Chłopcy nigdy jej wtedy nie przeszkadzali. Czekali cierpliwie, aż babcia zacznie swą opowieść. Jednak tego dnia babcia dłużej niż zwykle myślała, a chłopcom coraz bardziej dokuczała ciekawość. Wreszcie babcia podniosła w górę głowę i powiedziała do chłopców:

- Zanim opowiem wam, co się wczoraj wydarzyło, muszę was o coś prosić. To dla mnie bardzo ważne.

- Co tylko babciu zechcesz!- zawołał Michał

- Ja przyniosę!- zerwał się z miejsca Karol.

Babcia uśmiechnęła się.

- Tego nie da się przynieść. Możecie mi to dać sami z siebie. To wasza dyskrecja.

Michał i Karol spojrzeli na siebie. Słyszeli już to słowo, ale nie pamiętali co oznacza.

- Dobrze babciu...- zaczął Karol.- Jest tylko jeden mały problem....

- Taaak...- babcia domyślała się, że chłopcy mają problem właśnie ze znaczeniem słowa „dyskrecja”, ale zanim zaczęła cokolwiek mówić, odezwał się Michał:

- Ta „dyskrecja”, co to właściwie jest?

Babcia zastanowiła się przez chwilę i powiedziała:

- Pamiętasz Michałku, jak w zeszłym roku powiedziałeś mi i Karolkowi, że bardzo lubisz rysować kwiaty?

- Tak- odpowiedział chłopiec.- Prosiłem was wtedy, żebyście nikomu nie mówili. Trochę się tego wstydziłem.

- No właśnie. Ja wcale nie uważałam, że to wstyd malować kwiaty, ale skoro poprosiłeś, aby nikomu o tym nie mówić – ja zachowałam dyskrecję. Nikomu nie pisnęłam ani słówka!

- Ja też nie!- zawołał Karol. - Ja też byłem „dyskrecja”!

- Mówi się „byłem dyskretny”- poprawiła babcia.

- Teraz już rozumiem!- Michał uśmiechnął się.- Ty babciu nam coś opowiesz, a my będziemy dyskretni i nie powiemy nic nikomu choćby nie wiem co! Tajemnica to tajemnica!

- Dziękuję chłopcy- powiedziała babcia i opowiedziała, co takiego wydarzyło się poprzedniego dnia.- Otóż pewien mój znajomy malarz obejrzał moje obrazy, które malowałam od pięciu lat. Bardzo mu się spodobały i postanowił pomóc mi zorganizować wystawę. Bardzo się z tego cieszę i dlatego wam to mówię, ale wolałabym zachować to na razie w tajemnicy. Mogę liczyć na waszą dyskrecję?

- Oczywiście babciu!- odpowiedzieli jednocześnie chłopcy, a Michał zapytał z uśmiechem:

- Ale nie wstydzisz się babciu tej wystawy?

- Oczywiście, że nie mały spryciarzu!- uśmiechnęła się babcia.

4. LIDER, CZYLI PRZYWÓDCA.

Po pięknym słonecznym dniu, nadszedł ciepły wiosenny wieczór. Maciek szykował się do snu. Tato jak zwykle co wieczór zajrzał do pokoju syna. Stał chwilę w progu, przyglądając się jak chłopiec patrzy przez okno. Wieczór rzeczywiście był wspaniały. Słońce zaszło już za horyzont, a niebo powoli zasłaniały ciemne, nocne chmury. Wyglądało to tak jakby ktoś zasuwał ciemną roletę nad miastem. Jednak to nie niesamowite widoki za oknem sprawiały, że Maciek stał zamyślony. Chłopiec miał problem i nie potrafił sobie z nim poradzić. W szkole wydarzyło się coś, co nie dawało mu spokoju. Chłopiec wyczuł obecność taty w pokoju i bardzo się z tego ucieszył. Wieczorne rozmowy zawsze wiele mu wyjaśniały i był pewien, że i tym razem nie będzie inaczej. Odwrócił się i powiedział do taty:

- Czy znasz jakiegoś lidera?

- Oczywiście! - odpowiedział tato.- Powiem ci więcej . Znam ich wielu.

- Czy to coś złego być liderem?- zapytał nieśmiało Maciek.

- Opowiem ci pewną historię, a ty sam osądź, czy „być liderem" to dobrze, czy źle.

Tato usiadł obok syna przy oknie i spojrzał daleko na niebo, które całe spowiło się już granatem nocy.

- Kiedyś, dawno temu wybrałem się z kolegami na wyprawę po górach- tato Maćka uśmiechnął się na samo wspomnienie tamtej przygody.- Tego dnia było naprawdę ładnie. Słońce przygrzewało jeszcze całkiem mocno, chociaż była to już końcówka września. Widoki były cudowne. Góry jesienią są naprawdę piękne. Szliśmy już dość długo i wszyscy byliśmy zmęczeni tą wędrówką. W pewnym momencie zeszliśmy ze szlaku. Pogoda trochę zaczęła się psuć, a my byliśmy coraz bardziej głodni. Nie wiem, jak skończyłaby się ta wyprawa, gdyby nie jeden ze starszych kolegów. To on zdecydował, że należy wrócić na szlak. Wkrótce szczęśliwie dotarliśmy do schroniska. On właśnie był naszym liderem grupy.- Skończył swą opowieść tata, a po chwili zapytał:

- Powiesz mi teraz, co o tym sądzisz?

- Pewnie- uśmiechnął się wreszcie Maciek.- Myślę, że doprowadzę swoją grupę do schroniska! Pani od matematyki miała rację, tylko nie wiedziałem, o czym mówi.

- Zaraz, zaraz- zdenerwował się trochę tata.- Czy ty nie jesteś trochę za młody na włóczęgi po górach?!

- Nie po górach!- zaśmiał się chłopiec.- To wyprawa po wielkim świecie cyfr! Jedziemy na turniej matematyczny. Pani wybrała sześć osób i powiedziała, że ja będę liderem zespołu.

- W takim razie gratuluję i trzymam za was kciuki!- uspokoił się tata. A teraz idź już do łóżka, bo słyszę, że lider domu każe nam iść spać.

- Mama jest naprawdę dobrym liderem- powiedział Maciek.

- Oczywiście -przytaknął tata.- A ty odziedziczyłeś po niej tę cechę. Dobranoc, mój przywódco matematyczny.

Monika Joanna Litwin